EPOKA

ROK IV. | Warszawa, 20 grudnia 1937 r. | Rok IV, Nr 24 (103)

Treść numeru:

Folwarki i kartele

Z cyklu: „O program gospodarczy demokracji polskiej"

Rzecznicy i obrońcy tych metod strupieszałych, którymi dotychczas rządzi się życie gospodarcze w Polsce, powołują się zazwyczaj na przykład krajów Europy Zachodniej i Ameryki, dowodząc, że tam również panuje kapitał finansowy, znajdujący swój wyraz w kartelach i koncernach, a jednak dobrobyt krajów tych stoi wysoko. Tak, ale kapitał finansowy w Polsce to co innego niż ten sam kapitał finansowy na Zachodzie lub w Ameryce. I tam jest on elementem zastoju. I tam zachowuje on swe cechy pasożytnicze. Ale tam przychodzi on po uprzednim szerokim, bujnym rozwoju życia gospodarczego. Może on zahamować — i zahamuje w istocie dalsze jego postępy. Ale nie może zniszczyć tak szybko dorobku całego wieku minionego, nie może zburzyć fabryk, które już stoją, nie może tak łatwo poziomu życia kulturalnego mas obniżyć do stanu, jaki panował przed pół wiekiem.

U nas inaczej. My i tak byliśmy zacofani. U nas pęta kartelowe oznaczają nie tylko utrudnienie dalszego rozwoju. U nas niszczą one w zarodku, uniemożliwiają wszelki rozwój, rozwój, który miał się dopiero rozpocząć z odbudowaniem Państwa. Tam kapitał finansowy zatrzymuje życie gospodarcze na poziomie z przed lat dwudziestu, powiedzmy. Ale u nas i ten poziom z przed lat dwudziestu już był anachronizmem, był pozostałością z ubiegłego stulecia. U nas utrzymywać życie gospodarcze na poziomie z r. 1913, znaczy utrzymywać je na poziomie, który może — może! — był normalny przy końcu XIX wieku. Na Zachodzie kapitalizm monopolistyczny oznacza śmiertelną wprawdzie, ale przewlekłą, długotrwałą chorobę. U nas oznacza szybki, postępowy paraliż. Nie mamy poprostu dość tłuszczu, by chorobę przetrzymywać dłużej.

Symptomy tego paraliżu, tego zamierania, kurczenia się gospodarstwa społecznego widzimy na każdym kroku. Prawda — mamy Gdynię, Chorzów, Mościce, Porębkę, wszystko zresztą państwowe lub półpaństwowe. Prawda — w pewnych gałęziach przemysłu — metalowo - przetwórczym i chemicznym przede wszystkim — powstały nowe działy produkcji, nieznane za zaborców, dodajmy znowu, przeważnie jako państwowe lub przynajmniej przez państwo ze względu na konieczności obronne subwencjonowane przedsiębiorstwa. Ale to już jest wszystko — jasne

plamy na ciemnym, coraz bardziej ciemniejącym tle. Bo, o ile idzie o resztę, o całość życia gospodarczego kraju, to statystyka i autopsja, grube foliały uczonych i proste fakty codziennego życia, zdania ekonomistów i inżynierów zgadzają się na jedno: jest ciężko i mało danych na to, aby miało być lepiej. Nie chcemy zestawiać długich kolumn cyfr na potwierdzenie rzeczy, które stały się niemal truizmem. Wolimy cytować jak najmniej z „Małego Rocznika Statystycznego". Ograniczymy się do kilku faktów.

Pod ochroną szumnych frazesów o państwowych i narodowych koniecznościach rozbudowali swe władztwo dysponenci karteli. Ustawy państwowe zagwarantowały im ich stan posiadania — w węglu, w żelazie, w nafcie, w cukrze. Cłami przewozowymi zaganiano opornych do kartelu przędzy bawełnianej. Odmowa udzielania koncesji nowym konkurentom zabezpiecza monopol drożdżowni. Przyczyny zawsze się znalazły. Bo dewizy... Bo względy socjalne... Bo obronność kraju... Bo to i tamto i owo... A rzeczywistość?

Dewizy? Eksport kartelowy w okresie od 1927 r. wyniósł, z grubsza biorąc, 5 miliardów złotych. Pokaźna suma. Ale równocześnie sumy wywiezione z kraju tytułem odsetek, dywidend, tantiem itd. wyniosły za te same lata blisko 2 i pół miliarda. Tyle podług oficjalnych danych. A gdzie są sumy, zapłacone za licencje, za „pomoc techniczną", sumy przepłacone zagranicznym właścicielom za zakupione za ich pośrednictwem surowce lub maszyny, gdzie są sumy nie dopłacone przez zagranicznych właścicieli przy sprzedaży gotowych produktów za pośrednictwem ich zagranicznych przedsiębiorstw? Słyszeliśmy coś o tych sumach przy aferach Żyrardowa, Elektrowni warszawskiej, Pe-Pe-Ge...

Względy socjalne? W naszym górnictwie węglowym pracowało w r. 1913 — 123.000 robotn., w hutnictwie żelaza i cynku — 63.000. W r. 1936 zatrudnionych było 93.000 w górnictwie i 40.000 w hutnictwie. 16 lat kartelowej polityki socjalnej zmniejszyło liczbę zatrudnionych o blisko 30%!

Interes gospodarstwa krajowego? Nasza produkcja żelaza spadła, w stosunku do 1913 r., z 1055 tysięcy ton na 584 tys., stali — z 1619 tys. na 1145 tys., cynku — ze 192 tys. ton na 93 tys. ton. Produkcja cukru spadła z 6348tys. kwintali w r. 1913 na 4445 tys. kwintali w ostatniej kampanii. Nie wyliczamy więcej, bo znużylibyśmy tylko czytelnika powtarzaniem wciąż takich samych liczb. Interesem gospodarstwa krajowego w kartelowej interpretacji jest systematyczne dławienie produkcji krajowej.

Obronność? Wyżej przytoczone cyfry o przemyśle górniczym i hutniczym, tym kośćcu wszelkiej nowoczesnej obronności kraju, mówią nam już i o zasługach panów kartelowców dla obrony kraju. Dodajmy jeszcze jeden moment: nie tylko produkcja, ale i zdolność produkcyjna tego przemysłu zmniejszyła się w ciągu ostatnich lat o 30 do 40%. W hutach i kopalniach nie odnawia się od dziesięciu lat zużytych maszyn. Urządzenia kilku hut sprzedano na złom. W naszych fabrykach i kopalniach pracują urządzenia, kotły i maszyny, które od dziesiątek lat powinny były być wymienione. Niszcząc aparaturę przemysłową kraju, polityka kartelowa podrywa jego obronność, stanowi niebezpieczeństwo dla obrony jego niepodległości. To w przemyśle.

W rolnictwie podstawowa w naszych warunkach gospodarka chłopska prowadzona jest na niewystarczających do racjonalnej uprawy, malejących z każdym rokiem, z każdymi nowymi działami rodzinnymi, skrawkach ziemi. Przeciążona jest podatkami. Dławią ją obręcze cen kartelowych na wszystkie niemal produkty jej masowego zapotrzebowania. Brak jej normalnego, dostępnego na możliwych warunkach kredytu. Toteż dusi się ona coraz bardziej, nie jest zdolna do stosowania postępowszych metod pracy na roli, trzyma się przeważnie nieracjonalnych i niegospodarczych metod ojców. Śmiesznie niskie cyfry zużycia nawozów sztucznych to najlepszy miernik zacofania naszej gospodarki rolnej. A zacofanie to wynika nie — jak to twierdzą niektórzy — z jakiegoś organicznego konserwatyzmu, jakiejś organicznej niezdolności do racjonalnej gospodarki, stanowiącej rzekomo właściwość chłopa polskiego. Jest ono po prostu następstwem nędzy tego chłopa, następstwem faktu, że tego chłopa w chwili obecnej na inną gospodarkę po prostu nie stać. To zacofanie naszego rolnictwa grozi nam każdej chwili, przy każdym poważniejszym nieurodzaju, klęską głodu. Klęską aktualną zresztą i tej zimy. Kurczący się przemysł, głodujące rolnictwo nie są w stanie wyżywić stałego i wielkiego przyrostu ludności. W tych warunkach przyrost ten, który powinien stanowić największe bogactwo kraju, jest tylko dodatkowym źródłem kryzysów i komplikacji.

Trzeba stwierdzić stanowczo: w ciągu ostatnich dwudziestu lat nie tylko nie nadrobiliśmy bodaj w części zaległości ubiegłych wieków, ale do starych zaległości dodaliśmy jeszcze nowe. Nie jesteśmy dziś bliżsi gospodarczo Anglii, Francji, Szwecji, jesteśmy dalsi od nich, bliżsi Bułgarii, Jugosławii, Wenezueli czy Portugalii, niż byliśmy przed dwudziestu laty. Jest to nieunikniony skutek oddania w ręce kapitału finansowego kierownictwa życiem gospodarczym kraju.

***

Twierdzimy, że dla rozwoju gospodarczego Polski jako całości niezbędne jest, aby wieś polska była zamożna i dostatnia, aby stanowiła pojemny rynek zbytu dla produktów przemysłowych, które dziś wyrzucany za bezcen na obce rynki, aby dzieci chłopskie na polskiej wsi mogły jeść (a to znaczy: mogły kupić) ten polski cukier, którym dziś karmi swe świnie angielski i duński hodowca. Twierdzimy: trzeba nie tylko zatrudnić setki tysięcy bezrobotnych, trzeba znaleźć pracę dla setek tysięcy rąk, które przybywają z każdym rokiem, trzeba znaleźć pracę i dla tych, którzy i przy najgruntowniejszej reformie rolnej we wsi nie pozostaną. Pracę dla nich znajdziemy tylko w przemyśle. Ale przemysł taki dopiero wtedy się rozwinie, gdy oprze się o rynek zbytu, jakiego dziś w Polsce niema, o rynek zbytu zamożnej, dostatniej wsi, nie jakiejś górnej tylko warstewki chłopów-bogaczy, lecz podstawowej, wielomilionowej masy chłopskiej.

Taka zamożna, dostatnia wieś powstanie w Polsce jedynie wtedy, kiedy chłop dostanie ziemię, kiedy cała ziemia, i obszarnicza, i należąca do dóbr „martwej ręki" przejdzie w chłopskie dłonie. To znaczy: ***nie wdając się w dyskusje na temat zasług i przestępstw kasty obszarniczej w przeszłości, stwierdzimy fakt sprzeczności dalszego jej istnienia z interesami dalszego rozwoju gospodarczego kraju, z interesami nie tylko chłopów, ale olbrzymiej większości narodu, olbrzymiej większości mieszkańców kraju.***

Nie będzie w Polsce wszechstronnej poprawy gospodarczej, nie będzie rzeczywistego rozwoju przemysłu, dopóki w niej będą istnieć folwarki obszarnicze.

To samo odnosi się i do pp. kartelowców. I tutaj dalecy jesteśmy od naiwnego wyobrażenia, że magnaci karteli polskich całymi dniami i nocami knują czarne plany na zgubę życia gospodarczego Polski. Niewątpliwie, w pewnych ośrodkach np. przemysłu naftowego lub węglowego istnieć mogą i tego rodzaju plany — ujawnia je choćby ostatnia sprawa „Standard Nobel". Ale to są pojedyncze, izolowane i właśnie dlatego nie groźne wypadki.

Moment decydujący jest zupełnie inny. Chodzi o to, że magnatom wielkiego kapitału — przy istnieniu struktury kartelowej, monopolistycznej w przemyśle — lepiej opłaca się produkować mało i sprzedawać drogo, aniżeli produkować dużo i sprzedawać tanio — i że mogą oni to czynić właśnie dzięki istnieniu kartelowej, monopolistycznej struktury w przemyśle. Rzecz jasna, że wobec tego nie pilno im rozbudowywać przemysł, nie warto udoskonalać produkcji — lub też przynajmniej rentowność takiego udoskonalenia zaczyna się gdzieś bardzo daleko. To jest podstawowy, ekonomiczny fakt. Wszystkie inne — te umowy kartelowe, zabraniające stawiania nowych maszyn, czy też budowania nowych fabryk, te odszkodowania za nieróbstwo, tyle wywołujące oburzenia, te bajońskie kary za zbrodnię sprzedawania po niższej cenie (kary, dodajmy, egzekwowane o wiele skuteczniej niż np. zaległości podatkowe) — to wszystko są już tylko ornamenciki, arabeski na jeden podstawowy temat.

Stwierdzamy: przy obecnej strukturze gospodarczej kapitalizmu w Polsce lepiej się przemysłowcom kartelowym opłaca hamować rozwój sił gospodarczych kraju, aniżeli popierać ten rozwój. To też — świadczą o tym każdemu, kto sobie zada trud przeczytania ich, sprawozdania Komisji Ankietowej, statystyki Gł. Urzędu Statystycznego, wreszcie ich własne lewiatańskie sprawozdania — nasi magnaci kartelowi idą właśnie po tej drodze.

Tak jak szlachta czasów saskich prowadziła wynikającą z jej ciasnego klasowego interesu rabunkową gospodarkę pańszczyźnianą pracą chłopską, tak samo dziś nasz, zarówno rodzimy, krajowy, jak i zagranicznego pochodzenia kapitał finansowy prowadzi rabunkową gospodarkę zasobami naturalnymi, siłą roboczą, siłami produkcyjnymi Polski. I dopóki tej gospodarce nie zostanie położony kres, kres ostateczny i gruntowny, dopóty niema mowy o rzeczywistym rozwoju gospodarczym Polski, o rozwoju przemysłu w Polsce, o wyrównaniu wiekowych zaniedbań życia gospodarczego w Polsce, o położeniu trwałych fundamentów pod gospodarcze zabezpieczenie niepodległości i obronności kraju.

Wiemy, co nam odpowiedzą obrońcy folwarków i karteli. Usłyszymy od nich: od lat przeszło dwudziestu przeprowadza się w Polsce reformę rolną. Skutki jej, jak dotąd, są minimalne. Głód ziemi raczej wzrósł, zamiast zmaleć, spożycie wiejskie towarów przemysłowych spadło, a nie podniosło się. To prawda. Ale prawdą jest także, że dzieje się tak dlatego, bo reforma rolna z góry wykluczyła od parcelacji poważną część dóbr obszarniczych, bo reforma rolna tę parcelację rozłożyła na raty, bo wreszcie — i to jest najważniejsze! — reforma rolna kazała chłopu płacić, drogo płacić za przydzieloną mu ziemię. Jak ma być spożywcą towarów przemysłowych chłop, który każdy grosz musi odkładać na zapłatę raty w banku? Nie radykalizm reformy rolnej, ale na odwrót jej umiarkowanie, jej szacunek dla starej, szlacheckiej „proprietas" sprawiły, że nie stała się ona narzędziem rzeczywistej naprawy naszego ustroju rolnego, że nie stała się punktem wyjścia szerokiego rozwoju życia gospodarczego kraju. Dotychczasowe doświadczenia mówią nam tylko: ta obecna, częściowa, za odszkodowaniem, reforma rolna nie rozwiąże kwestii agrarnej w Polsce.

Powiedzą nam obrońcy karteli: gospodarkę kartelową badało ileś tam komisji ministerialnych i urzędów kontroli, a przecież nie znaleziono zasadniczych podstaw do zlikwidowania ich. I to prawda. Wobec komisji ministerialnych np. magnaci kartelowi zawsze będą w porządku. Bo to wszystko, co opinia publiczna i zdrowy instynkt mas ludowych nazywają — naszym zdaniem słusznie — złodziejstwami kartelowymi i machlojkami finansowymi, w niczym nie narusza przepisów kodeksu karnego i kodeksu cywilnego, da się od biedy pogodzić nawet z wszelkiego rodzaju ustawami kartelowymi. Pamiętajmy, że komisje ministerialne operują w zaczarowanym kole nienaruszalności praw magnatów kartelowych do ich pensji, tantiem, procentów, do rentowności rzekomo przez nich włożonych w przedsiębiorstwa kapitałów i t. d., i t. d. Oznacza to tylko: w ramach tych praw, w *ramach tego kartelowego systemu* polityka gospodarcza przemysłu musi wyglądać tak jak wygląda obecnie. *W ramach tego systemu* niema mowy o rozwoju przemysłu w Polsce.

Powoływanie się na wyniki obecnej reformy rolnej i wnioski różnych komisji ministerialnych dla badania zagadnień kartelowych dowodzi, naszym zdaniem, tylko jednego. *Oto zachowując folwarki i prawa ich właścicieli, nie można rozwiązać kwestii rolnej w Polsce, tak samo jak utrzymując kartele, nie można rozbudować przemysłu polskiego.* Rozwiązanie kwestii agrarnej, rozbudowa przemysłu — te dwa podstawowe zagadnienia rozwoju gospodarczego kraju są zarazem punktami węzłowymi konfliktu między interesami obszarników i baronów kartelowych a interesami gospodarstwa społecznego kraju, interesami przygniatającej większości jego mieszkańców.

Z dnia na dzień

BERLIN RYWALIZUJE Z MOSKWĄ W TĘPIENIU WOLNOŚCI SUMIENIA

„Wierzący katolik w Niemczech podlega prawom wyjątkowym... Musi znosić kpiny i szyderstwa, niewolę i ucisk swej wiary, nie mogąc się nawet bronić...

Kłamstwem jest, jeżeli się mówi, że Kościół w Niemczech może rozwijać swobodnie i bez przeszkód swą działalność, jeżeli tylko pozostaje w sferze religii i nie miesza się do polityki...".

Te słowa, to nie urywek z jakiegoś „folksfrontowego", mówiąc wdzięcznym, ozonowo-falangowym stylem, organu. To nawet nie słowa jakiegoś politycznego działacza katolickiego. To — cytaty z ostatniego listu pasterskiego biskupa berlińskiego, hrabiego Konrada von Preysing. Urzędowy dokument kościelny, pisany notabene przez prałata, pochodzące-

go z nawskroś konserwatywnego, ziemiańskiego rodu.

Skonfiskowano — czytamy dalej w liście pasterskim — dwanaście drukarń katolickich za druk „wywrotowej bibuły" a mianowicie marcowej encykliki papieskiej. Rozwiązano — z powołaniem się na ustawę o zwalczaniu komunizmu! — Katolickie Związki Młodzieży w biskupstwach monasterskim, paderbornskim, trewirskim, limburskim. Konfiskuje się pisma kościelne, aresztuje się — masowo! — księży i wiernych. To pisze biskup Berlina w oficjalnym liście pasterskim o tym raju totalistycznym, do którego tak wzdychają totalistyczni katolicy typu ks. Pawskiego i ks. Trzeciaka.

Ale gotują się dalsze niespodzianki. Oto „Das Schwarze Korps", organ S.S., tajnej policji hitlerowskiej (nakład 500 tys. egz.) drukuje już, z powołaniem na min. Kerrla, nowe zasadnicze tezy o przyszłych losach religii w Niemczech. Ma być reklamowana religia państwowa, wspólna i obowiązkowa dla wszystkich obywateli Rzeszy. Treścią jej jest „ujawnienie się Boga w przyrodzie, w losie, życiu i umieraniu narodów". Czyli skodyfikowany „mit krwi i ziemi" p. Rosenberga.

Dobra kościelne mają być skonfiskowane, wszelkie instytucje kościelne zlikwidowane, wszelkie subwencje dla kościołów, kleru i t. d. wstrzymane. Dalsze zadania muszą napełnić oburzeniem nie tylko każdego wierzącego człowieka, ale także każdego demokratę, bez względu na jego osobisty stosunek do spraw religijnych. Oto kościoły mają istnieć o tyle tylko, o ile podporządkują się zasadom ogólnym religii państwowej. Oznacza to, że np. stara teza chrystianizmu o równości i braterstwie wszystkich ludzi wystarcza w zupełności do ogłoszenia jako nielegalne wszystkie kościoły chrześcijańskie.

Nic dziwnego, że cała prasa zagraniczna, z angielską, szczególnie wrażliwą na kwestie religijne, na czele, traktuje artykuł „Schwarze Korps", jako zapowiedź nowego „Kulturkampfu".

MAJĄ USZY I NIE SŁYSZĄ...

Ale nie tylko „Kulturkampf" zapowiada się w Niemczech. Zapowiada się i nowa „akcja" mniejszościowa. Właśnie niedawno ogłoszono wyniki przeprowadzanego w r. 1933, już za Trzeciej Rzeszy spisu ludności. Oto dane dotyczące Polaków (liczymy wraz z Mazurami).

Było w Niemczech podających język ojczysty polski lub mazurski w r. 1925 225 tysięcy — w r. 1933 128 tysięcy; polski (maz.) i niemiecki w r. 1925 441 tysięcy — w r. 1933 309 tysięcy.

Widzimy gwałtowny spadek we wszystkich pozycjach. Szczególnie tragiczny jest ten spadek na Mazurach. A to przecież był dopiero początek ery hitlerowskiej!

Spadek ten nie wystarcza jednak hitlerowcom. „Deutschtum im Ausland", dodatek do „Berliner Tageblatt", zapowiada na przyszłość „modyfikację urzędowych metod spisowych", która „pozwoli na dokładne ustalenie siły liczebnej polskiej grupy ludnościowej". Jak te „zmodyfikowane" metody będą wyglądały, można sobie wyobrazić na podstawie tego, że pismo ocenia liczbę Polaków w Niemczech na jakie 10 — 20 tysięcy. Polacy znikną, co prawda nie w rzeczywistości, ale napewno ze spisów ludnościowych niemieckich. Dodajmy dla informacji, że artykuł ten ukazał się w „Berliner Tageblatt" już po wiadomej deklaracji mniejszościowej.

A teraz godzi się zastanowić! Są u nas w Polsce zawodowi, polityczni katolicy, organizatorzy pielgrzymek jasno-górskich. Ale ci zawodowi katolicy są głusi na głosy rozpaczy biskupów katolickich. Są zawodowi patrioci, nacjonaliści, hypernacjonaliści — ale ci polscy nacjonaliści nie słyszą, jak tępi się polskość na terenach gdzie przetrwała ona wieki. Nie dość na tym, jeżdżą po rady, po nauki, po pomoc do tych, którzy tępią tę polskość, do tych, przeciw którym kierują swe listy pasterskie katoliccy biskupi.

Powiedzcie, czy ten wspólny zapał do faszyzmu, totalizmu, antysemityzmu tak nagle przytępia im słuch i wzrok? Czy też może nasza nacjonalistyczna prawica, wzorem prawicy francuskiej, tak już została przeżarta robotą agentur Trzeciej Rzeszy, że nie może, nie wolno jej reagować nawet tam, gdzie wymagałby tego jej własny program i niewątpliwie sympatie znacznej części jej zwolenników?

SZLACHCIC NA ZAGRODZIE...

Nie tylko na Podkarpaciu żyją chłopi pochodzenia drobnoszlacheckiego. I w innych częściach kraju są okolice, zaludnione przez ten odłam ludności wiejskiej. Chłopi ci znajdują się w takim samym położeniu materialnym, jak cała wielomilionowa masa chłopska. Łączą ich z tą masą wspólne interesy i dążenia, którym z natury rzeczy odpowiada polityczny i społeczno-kulturalny program demokracji — a w szczególności ruchu ludowego.

A przecież od jakiegoś czasu jesteśmy świadkami szerokiej akcji, zmierzającej do obyczajowego i nawet organizacyjnego wyodrębnienia chłopów pochodzących z drobnej szlachty od reszty ludu wiejskiego. W łonie masy chłopskiej ma widocznie powstać oddzielny, świadomy swej odrębności i wyższości stan „szlachty zagrodowj". Stan, który w członkach swych ma wyhodować jakieś szczególne, różniące ich od reszty chłopów, właściwości czy zgoła „cnoty", obudzić w nich niechłopskie ambicje i dążenia, odgrodzić ich od demokratycznego ruchu ludowego, stworzyć na wsi zaporę, hamującą rozwój tego ruchu.

Akcja ta z Podkarpacia przerzuciła się ostatnio nad Niemen. Dla „szlachty" podkarpackiej od dłuższego już czasu wychodzi pismo „Pobudka", służące szczytnej idei nobilitowania pewnej części chłopów. Obecnie i w Grodnie zaczęło ukazywać się pismo o takim samym charakterze — p. n. „Nasza Okolica". Jutro może przyjść kolej na Białą Podlaską, czy stolicę jakiegoś innego powiatu, zaludnionego w części przez chłopów pochodzenia szlacheckiego.

Ale demokracja nie zna żadnych różnic między chłopem, którego przodkowie za beczkę miodu, dobrą wyżerkę lub złotą monetę obcinali sobie wzajemnie uszy, żeby wprowadzić „swego" magnata do Sejmu — a chłopem, którego pradziad pod ekonomskim batem orał, siał i zbierał dla tego samego magnata. Rzecz jasna, okoliczność, że czyjś praszczur poświęcił ucho dla zapewnienia swemu Jaśnie Wielmożnemu protektorowi mandatu poselskiego, nie jest w oczach demokracji niczym ubliżającym, bo takie czy inne pochodzenie nikogo w pojęciach demokratycznych nie dyskwalifikuje (tym przecież różni się demokracja od faszyzmu). Ale napewno okoliczność ta nie stanowi żadnego tytułu do wywyższenia kogoś.

I demokracja pamięta dobrze, jak to w czasie Sejmu Czteroletniego nobilitowano pewną część mieszczan, żeby sparaliżować w ten sposób walkę stanu trzeciego o równouprawnienie. Ówcześni demokraci (np. Jezierski) głośno przestrzegali mieszczan przed tym szlachetnym gestem magnatów, za którym krył się egoistyczny interes kastowy. Nie darmo nazwano historię mistrzynią życia.

ARCYKAPŁANI O SOBIE

W Monachium urządzono niedawno wystawę t. zw. sztuki zdegenerowanej, czyli poczętej z rozkładowego ducha żydowskiego. Jednocześnie zaprodukowano osiągnięcia prawdziwie „aryjskiej" twórczości artystycznej — jako zdrowego przejawu hitlerowskiego „odrodzenia" narodowego. Wynik jest wiadomy: rdzennie aryjska publiczność tłumnie zwiedzała sale, w których dla odstraszającego przykładu wystawiono dzieła sztuki „żydowskiej" i judaizującej, natomiast hitlerowskich bohomazów nikt nie chciał oglądać. Oczywiście do sztuki zdegenerowanej i z żydowskiego ducha poczętej zaliczono całą niezglajchszaltowaną, niehitlerowską twórczość artystyczną wszelkich kierunków. Sam Hitler w mocnych słowach napiętnował szkodliwe dla narodowej tężyzny prądy „żydowskie" w sztuce i dał najwyższe placet polityce

Reichskulturamtu, która stempel żydowskiej degeneracji przyłożyła też... futuryzmowi i twórczości mu pokrewnej, względnie odeń pochodzącej (awangarda i t. p.).

Otóż pech chciał, że — jak wiadomo — futuryzm był swego czasu artystycznym odpowiednikiem faszystowskiej „rewolucji" we Włoszech a twórca i wódz futuryzmu, Marinetti jest dożywotnio uznanym arcykapłanem sztuki w kraju czarnych koszul i generalnym sekretarzem faszystowskiego Syndykatu Pisarzy — w dodatku zaś członkiem Akademii. Zaliczony przez niemieckich przyjaciół w poczet przedstawicieli zdegenerowanej, rozkładowej sztuki żydowskiej, Marinetti poczuł się urażony. W wywiadzie, udzielonym paryskim „Nouvelles Littéraires" oświadczył tedy bez ogródek:

„Moralna i duchowa rewolucja futurystyczna wiązała się z polityczno społeczną rewolucją faszystowską, bo wspólnym naszym wrogiem był dekadencki, paseistyczny i tradycjonalny intelektualizm, przepojony obcą kulturą, w szczególności zaś kulturą germanizmu..."

Zelżony od Żydów faszysta włoski odpowiada — obraźliwym w jego pojęciu — epitetem „germanizmu". Nie trzeba zresztą zapominać, że w koncepcjach rasistycznych Hitlera umysłowość romańska jest typowym przejawem ducha żydowskiego a kultura narodów romańskich jest najniebezpieczniejszą dla moralnego zdrowia Niemiec trucizną.

Katolicyzm i parlamentaryzm, to właśnie te najbardziej rozkładowe produkty romańsko-żydowskiej umysłowości, których wytępienie jest nieodzownym warunkiem uzdrowienia narodu niemieckiego. Okazuje się jednak, że w pojęciu faszysty włoskiego „germanizm" jest akurat taką samą trucizną, jak „żydo-romanizm" w pojęciu augurów hitlerowskich, których Marinetti uważa zresztą za ludzi, pozbawionych zupełnie zmysłu estetyczngo. Bo zapytany, co sądzi o potępieniu futuryzmu w Niemczech, arcykapłan sztuki faszystowskiej odpowiedział:

„Uważam to za poważny błąd. Nie można bezkarnie odgradzać życia narodowego od życia duchowego i umysłowego. W ostatnich postanowieniach rządu niemieckiego widać zupełny brak jakiegokolwiek poczucia artystycznego".

GRATKA DLA MIŁOŚNIKÓW HUMORU

W tej samej sprawie udzielił Marinetti wywiadu przedstawicielowi „Prosto z mostu". „Po wymianie zwykłych ogólników — pisze autor wywiadu, p. Walldorf — przeszliśmy na aktualny temat: wyklęcia futuryzmu przez Hitlera. Pyta pan — zaczął jeszcze spokojnie Marinetti — co mogło nakłonić Hitlera do monachijskich enuncjacji? To jasne. Tak się złożyło, że nasz futuryzm wprowadzili do Niemiec Żydzi". Tu Marinetti wyjaśnia, że w sztuce, tak samo, jak w pochodzie armii, siły główne wyprzedzane są przez straże przednie, te zaś przez patrole. „Inaczej armia byłaby skazana na ciągłą niepewność, niebezpieczeństwo, błądzenie a nawet cofanie się w terenie nieznanym. — W sztuce rolę patroli gra awangarda! Hitler tego, zdaje się, nie rozumie... W ogóle nie rozumie awangardy! Tylko niech pan pamięta i napisze, że mam na myśli jedynie Hitlera — znawcę sztuki, aby mnie o brak rozróżnienia nie posądzono. Kanclerza Trzeciej Rzeszy podziwiam i nie mam przeciwko niemu żadnych zastrzeżeń, ale inaczej z Hitlerem, który walczy z awangardą".

Hitler, który nie zna się na sztuce, nie zrozumiał więc, że awangardę ruchu artystycznego stanowią... Żydzi! Że bez Żydów sztuce grozi „niepewność, niebezpieczeństwo, błądzenia a nawet cofania się"! Stwierdzenie takie w ustach faszysty i w dodatku na łamach polskiego pisma hitlerowskiego i antysemickiego — to zaiste nielada gratka dla miłośników humoru, tak licznych przecież wśród... Żydów! Niewątpliwie Żydzi (i nie tylko Żydzi) będą mieli 5 minut śmiechu kosztem augurów totalizmu i „Prosto z mostu", zwłaszcza, gdy przeczytają dalsze wynurzenia faszysty włoskiego — na temat niemieckiej umysłowości:

„Psychika Niemców jest par excellence analityczna, dlatego niebezpieczna. Zewnętrzne hasła, przeszedłszy niemiecką analizę, stają się często absurdem, który przez tych zacnych ludzi, pozbawionych zmysłu humoru a żyjących w kraju mgieł, wykonywany zostaje w najlepszej wierze. Tym tłumaczyć należy różne fakty przerażające dla nas, jeśli nie śmieszne".

Jest to oczywiście stek bzdur — nie większych jednak i nie mniejszych, niż te, które wygłaszają faszystowscy „teoretycy" w jakimkolwiek innym kraju. Mędrzec endecki, czy oenerowski będzie wszystkich Żydów uważał za wściekłych wrogów narodu polskiego, hitlerowiec Rosenberg w dodatku potraktuje Słowian jako urodzony materiał na niewolników wyższej rasy nordycko-niemieckiej, dla Marinettiego naród niemiecki, który wydał Goethego, Mozarta i Hegla, jest tylko zbiorowiskiem tępych matołów a „germanizm", przejawem barbarzyństwa, — nacjonalista żydowski wreszcie uważa Żydów za „naród wybrany", który cały świat obdarował... religią monoteistyczną. „Teoretyczne" bzdury, głoszone przez faszystów i szowinistów wszystkich maści, mogłyby naprawdę stanowić niewyczerpane źródło humoru, gdyby w skutkach swych nie były tak tragiczne.

„JA NIE CHCĘ IRONIZOWAĆ"

W ostatnim numerze (36) „*Sygnałów*" znajdujemy dokładny protokół sprawy, wynikłej z odwołania się redakcji pisma do Sądu Okręgowego we Lwowie przeciwko konfiskacie artykułu za gloryfikację „osoby pod względem politycznym podejrzanej" i przez to samo „pochwalający przestępstwo". Osobą tą, „nauczycielką życia" jest Stefania Sempołowska

„Gdyby Sąd uważał, — mówił obrońca adw. Szumański — że należy udowodnić bezpodstawność tego podejrzenia, w takim razie proszę o dopuszczenie szeregu moich świadków, którzy wykażą dowodnie, kim jest osoba p. Stefanii Sempołowskiej. Zaproponowani przeze mnie świadkowie stwierdzą, że jest ona ze wszechmiar godną najwyższego szacunku działaczką niepodległościową, która dla sprawy polskiej położyła ogromne zasługi. Jeśli w roku 1919 podjęła się roli przedstawicielki rosyjskiego Czerwonego Krzyża w Polsce na zasadzie wzajemności, stało się to na wyraźną prośbę rządu polskiego. Z prośbą tą zwrócił się do p. Sempołowskiej ówczesny wiceminister spraw zagranicznych Erazm Piltz, twierdząc, że niema poza nią w Polsce drugiego człowieka, który mógłby w danym momencie podjąć się tego rodzaju prac".

Adw. Szumański zgłasza tutaj nazwiska świadków, którzy mają przed Sądem stwierdzić jak wysoce humanitarną działalnością wypełnione było całe życie Stefanii Sempołowskiej oraz jaką czcią powszechną i zaufaniem, nie wyłączając Marszałka Piłsudskiego, otoczona była ta „osoba podejrzana politycznie". Świadkami tymi są osoby następujące: marszałek Senatu Aleksander Prystor, ambasador R. P. w Paryżu Łukasiewicz, b. minister i ambasador w Moskwie i Waszyngtonie Stanisław Patek, b. minister spraw zagranicznych August Zaleski, sędzia okręgowy w Warszawie Sobolewski, ks. prałat Lewicki, który powołany jest na okoliczność, że St. Sempołowskiej zawdzięcza życie, ona to bowiem wydostała go z więzienia sowieckiego, gdzie groziła mu śmierć. Wreszcie świadka Tytusa Filipowicza, b. ambasadora R. P. w Waszyngtonie, adw. Szumański powołuje na dowód, że gdy został aresztowany w Rosji jako poseł Gruzji, jedynie dzięki interwencji Sempołowskiej wydostał się z więzienia.*)

Prokurator stanął na stanowisku, że „Sąd nie może się dziś bawić w rozstrzyganie, kogo ma lub niema prawa nazwać politycznie podejrzanym. Skoro takie orzeczenie zostało wydane, nie może ono być uchylone". „Obrońca Szumański

*) Uzupełniające szczegóły patrz w Nr. 9 (88) „*Epoki*", w artykule Henryka Lukreca p. t. „Trud Stefanii Sempołowskiej".

powołał jakichś świadków z rozmaitych części świata. Zasadniczo nie przeciwstawiam się tym dowodom".

Ja nie chcę ironizować — odpowiedział obrońca, — stwierdzam tylko, że powołani przeze mnie świadkowie, to nie jacyś tam ludzie, lecz najwybitniejsze i wysoce zasłużone osobistości w Polsce. Poza tym wszyscy oni, z wyjątkiem jednego, mianowicie ambasadora Łukasiewicza, który przebywa w Paryżu, mieszkają obecnie w Warszawie". Na to prokurator oświadcza: „ja nie ironizowałem. Jeżeli wyraziłem się, iż osoby te mieszkają w różnych częściach świata, to dlatego, że mówił pan o ambasadorach w St. Zjednoczonych, w Rosji Sowieckiej, Japonii"... Na to znów adw. Szumański: „Tak, ale to było dawniej. Obecnie mieszkają w Warszawie". Prokurator: „Pan tego nie powiedział". Adw. Szumański: „Sądziłem, że o tym każdy wie".

Po przerwie, wywołanej naradą Sądu, przewodniczący ogłasza, że „Sąd postanowił powołać na świadka p. Piltza"...

Adw. Szumański: „Przepraszam bardzo, nie słyszę"...

Przewodniczący: „Sąd postanowił powołać na świadka p. Piltza"...

Adw. Szumański: „Piltz przecież nie żyje. Umarł dziesięć lat temu".

Sędzia: „Powoływał się pan na niego w swoim przemówieniu".

Adw. Szumański: „Mówiłem o tym, że Erazm Piltz prosił p. Sempołowską o przyjęcie przedstawicielstwa rosyjskiego Czerwonego Krzyża. Może Sąd zechce powołać ambasadora Łukasiewicza, który o tej prośbie wiedział, lub b. ministra Augusta Zaleskiego".

Sąd, psotanowiwszy wezwać na świadka Augusta Zaleskiego, rozprawę odroczył.

OJCIEC I CÓRKA

W 54-ym roku życia, w pełni sił i zdolności umysłowych, zeszedł z tego świata dr. Maksymilian Rose, słynny uczony, wyborny lekarz i zasłużony obywatel, profesor psychiatrii na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie.

Urodzony w Przemyślu w ubogiej rodzinie żydowskiej, nie dał się jednakże zamurować w ghetcie i już w szkole średniej przebił sobie drogę do uczestnictwa w życiu polskim i w kulturze europejskiej. Po ukończeniu gimnazjum, a następnie wydziału medycznego na Wszechnicy Jagiellońskiej, młody absolwent rozpoczął zrazu praktykę lekarską na miejscu, wkrótce jednak postanowił skupić się wyłącznie na pracy naukowej, specjalizując się w badaniach nad mózgiem. W poszukiwaniu wiedzy wyjechał do Berlina, gdzie oddał się studiom w świetnie wówczas wyposażonym Instytucie Wilhelmowskim. Osiągnął tam wybitne wyniki, zjednał sobie szacunek kolegów i przełożonych; miał przed soba otwartą i obiecującą karierę naukowca na obczyźnie. Ale młodego uczonego nieprzeparta tesknota ciągnęła z powrotem do Polski. Wrócił tedy do Krakowa wiedziony chęcią oddania na usługi kraju tej swojej bogatej wiedzy, którą zdobył u obcych.

W Krakowie, wkrótce po powrocie, zaskoczyła go wojna. Powołany do służby wojskowej, pełnił przez czas pewien funkcję lekarską w armii austriackiej, następnie zaś objął stanowisko naczelnego lekarza na stacji zbornej Legionów Polskich w Przemyślu. Zaraz po wojnie wraca Rose do swej twórczej pracowni naukowca. Otrzymuje doktorat w Berlinie i habilituje się na Uniwersytecie Warszawskim, jako docent neurologii i psychiatrii. Napróżno jednak czeka na katedrę. Jego rozległa nauka i jego wyjątkowy talent spożytkowane zostały właściwie dopiero w kilka lat później przez Uniwersytet St. Batorego. Otrzymawszy w Wilnie katedrę psychitrii, prof. Rose był jednocześnie dyrektorem Polskiego Instytutu Badania Mózgu. Jemu to, jako najlepszemu w jego dziedzinie specjaliście, po zgonie Marszałka Piłsudskiego powierzono mózg tegoż do przeprowadzenia badań analitycznych. Badania te, jak donosi prasa, były na ukończeniu, gdy niespodziana śmierć, przecinając pasmo życia wielkiego badacza, przedwczesny położyła kres jego świątlej pracy.

Na trumnie prof. Rosego, w dowód niezwykłych jego zasług obywatelskich i naukowych, spoczął krzyż *Polonia Restitutae.* Ten jasny i skromny znak czci pośmiertnej uwydatnia tym jaskrawiej pewne cienie, które, w związku z nieconą w Polsce walką ras, nie ominęły w ostatnich latach i tego pola, które z takim pożytkiem dla nauki uprawiał prof. Rose. W auli uniwersyteckiej, gdzie głosił wiedzę swoją uczony i gdzie panować powinna myśl, poszukująca prawdy, wtargnął namiętny, zaślepiający podmuch szowinizmu, a w ślad za nim wkroczyła zatruta fałszywą doktryną przemoc, niosąca powrotną falę średniowiecza: ghetto, wypędzone z mroków zaniedbanej ulicy żydowskiej, przypuściło szturm do przybytku wiedzy! Klątwa, będąca dziedzictwem najczarniejszej przeszłości, uznana została przez otumanioną młodzież za gwiazdę, mającą przewodniczyć jej pochodowi w przyszłość! Prof. Rose, który plon i sławę uczonego zdobył dzięki temu, że w młodości swej z murów żydowskiego ghetta się wyłamał i śmiało sięgnął po udział w kulturze europejskiej, musiał w ostatnim roku życia patrzeć na to, jak w obliczu jego własnej katedry profesorskiej zbłąkane ręce usiłowały z powrotem zburzone ghetto odbudować. Jakimż bólem krajało się jego serce, gdy jego rodzoną córkę-studentkę, przychodzącą na wykłady ojca, brutalne dłonie spychały w to samo ghetto, z którego wyzwolenie się on sam uważał za najchlubniejszy moment swego życia! Ileż goryczy było w jego wzroku, gdy widział, że dziewczyna, nie chcąc poddać się upokarzającym podziałom, na znak protestu słuchała wykładu ojca, stojąc!

A przecież nie ból ojca stanowił w jego udręce cierń najdotkliwszy. Głębiej od serca ojcowskiego, patrzącego na upokorzenie i bunt córki, cierpiało w nim serce człowieka i patrioty polskiego, zdającego sobie sprawę z głębokości tego mroku, jaki ogarnął umysły tych, którzy na odrodzonych murach ghetta chcą zatykać chorągwie odrodzonej Polski.

Przypomnijmy sobie serdeczne, nasycone powagą i zaufaniem wzajemnym stosunki, jakie w poprzednim pokoleniu łączyły, dajmy na to, Józefa Piłsudskiego z Feliksem Perlem albo Stanisława Tarnowskiego z Julianem Klaczką, i zestawmy je z losem, jaki przy napastliwej postawie jednych, małodusznej ustępliwości innych zgotowano Maksymilianowi Rosemu w dobie obecnej, a będziemy mieli poglądowo wyrażony ruch cofania się kultury polskiej już nie na nizinach, już nie w przekroju ogólnym społeczeństwa, ale w tych środowiskach, którym przysługuje miano „wierzchołków".

WIKTOR ZIELIŃSKI.

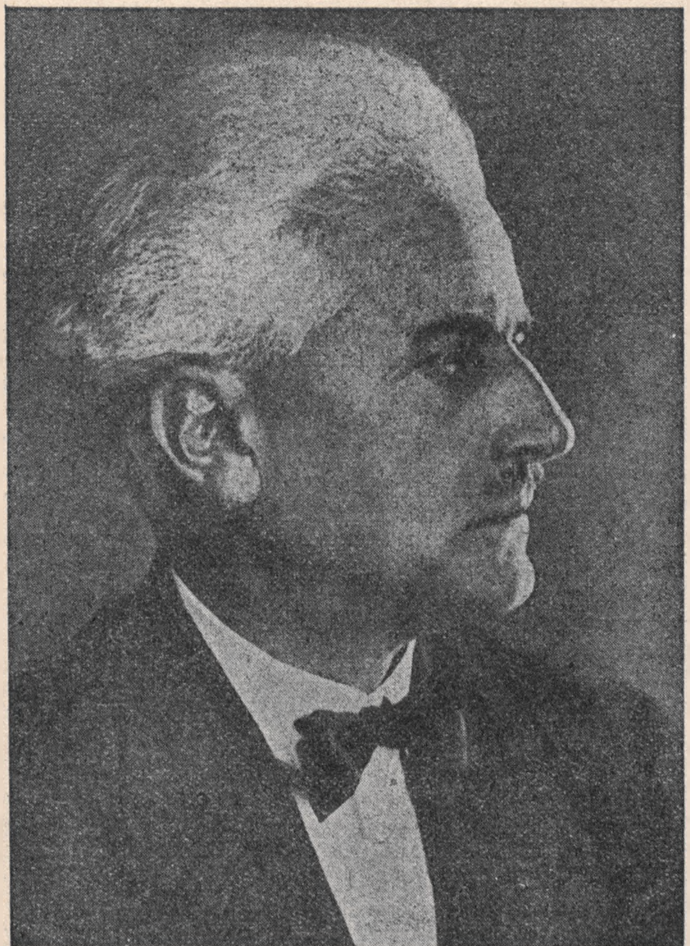
Andrzej Strug

(1873 — 1937)

Nad mogiłą Wielkiego Żołnierza - demokraty

Z wielkiej trójcy pisarzy, którzy krwią swej duszy poili dzieło wskrzeszenia Ojczyzny, zgasł ostatni.

Po Stefanie Żeromskim, po Gustawie Daniłowskim, odszedł Andrzej Strug, który z pierwszym współzawodniczył w dobywaniu najwznioślejszych akordów piękna z harty mowy polskiej, a z drugim dzielił zaszczyt bojowania o Polskę nietylko słowem. ale i szablą.



Jak piewca „Dumy o hetmanie", jak autor „Dni minionych", tak również twórca „Jutra" — „Ludzi podziemnych" — „Portretu" — „Chimery" — „Dziejów jednego pocisku" — „Mogiły nieznanego żołnierza" — „Żółtego Krzyża" — i tylu, tylu innych kart, sięgających do źródeł naszej niepodległości, poświęcił od lat najmłodszych swe pióro „twardej służbie", owej służbie nieugiętej, wymagającej hartu i wielkości ducha, która z pisarstwa czyniła zakon rycerski, z talentu — znamię i godło heroicznego powołania.

Służba ta bowiem naówczas nie oznaczała jeszcze sowicie opłacanej pracy w propagandzie, uprawianej na zamówienie wpływowych obozów. Nie prowadziła do uwicia sobie ciepłego gniazda na asekurowanej grzędzie. Nie dawała miejsca w akademiach, dożywocia w instytutach literackich. Wymagała próby charakteru i wyrażała się w niezłomnym trwaniu na odpowiedzialnym posterunku.

Andrzej Strug na posterunku swoim wytrwał aż do końca. Nie odstąpił od idei, która odwaliła kamień z grobu naszej niepodległości. Pozostał bojownikiem demokracji i piewcą sił moralnych, zawartych w piersi ludu, w sercu prostego człowieka.

Pisarz nie zawiódł swego ludu. ale i lud dochował wiary chorążemu swoich ideałów. Dzień zgonu Andrzeja Struga, dzień jego pogrzebu, zamieniły się w manifestację powszechnej żałoby ludowej w całej Polsce. Wielkiemu obywatelowi i sławnemu artyście słowa nie biły dzwony kościołów, gdy ulicami Warszawy odbywał swą ostatnią drogę na cmentarz wojskowy, ale wśród ciszy wolnej od pompy obrzędowej tym wierniej towarzyszyły mu, zjednoczone w żalu, serca współbojowników i towarzyszów, przyjaciół i wielbicieli, starych druhów i młodych współwyznawców idei.

I było istotnie coś przejmujacego czcią a także i dumą w obrazie tej trumny, złożonej na lawecie, zawierającej zwłoki jednego człowieka, lecz skupiającej na sobie żal i ból milionów ludzi, bo miliony Polaków czuły w nim siłę nieprzepartą: siłę, która każe prostować karki i podnosić czoła przeciw wszelkiej przemocy, skądkolwiek ona ramię brutalne wyciąga.

Andrzej Strug odszedł. ale pozostała z nami jego myśl; jego marzenie o Polsce naprawdę odrodzonej; jego wiara w człowieka.

Tej wiary w człowieka uczył nas każdym swoim dziełem. Nietylko słowem, ale i czynem. Nietylko pracą, ale i orężem. Bo Andrzej Strug był pisarzem, którego ambicją było nietylko świat opiewać, ale i przekształcać. Nietylko szukać w nim urody, ale i budzić sumienie.

Jeden z pierwszych — a niezapomnianych — utworów Andrzeja Struga nazywał się „Jutro". Jutro, ogladane oczyma człowieka, który o świcie miał z reki wroga — oprawcy paść na straconej reducie. Przyszłość Polski, ogladana poprzez samotne i nieustraszone mestwo; świt. oczekiwany poprzez walkę i ofiarę — czyż to nie rodowód naszej niepodległości?

Żywym, wcielonym rodowodem naszej niepodległości było całe życie tego artysty — żołnierza. tego poety — pielgrzyma, który z mroku podziemi dążył ku światłu słońca. z pęt niewoli ku swobodzie i godności człowieczeństwa.

Takimi ludźmi. jak Andrzej Strug, Polska przetrwała noc rozbiorów. Takimi ludźmi, jak on. dźwignęła się z grobu. Takimi, jak on, budować będzie swoją przyszłość.

Tę najszczytniejszą przyszłość, która potęgę człowieka opiera nie na ugiętym karku bliźniego, lecz na posiewie wolności i dumy w sercach wszystkich ludzi, a rodzi sie z obszarów pracy, organizowanej w imię sprawiedliwości i braterstwa.

Aktualizacja człowieka pierwotnego

Zainteresowanie życiem i organizacją ludów pierwotnych utrwaliło się w XIX w., kiedy to na najniższych stadiach rozwoju — dzikości i barbarzyństwa, usiłowano znaleźć klucz dziejów ludzkości, wyjaśnienie podstawowych procesów i instytucyj czasów późniejszych, czy nawet obecnych. Ku pierwotnym formom życia poczęła się zwracać każda niemal dziedzina wiedzy o człowieku, nie tylko socjologa i antropologa, ale i historia i najszerzej pojęta historia kultury.

Dziś zainteresowanie to bynajmniej nie zmalało. Przeciwnie. Dzięki ostatnim zdobyczom cywilizacyjnym faszyzmu, każde studium o najniższych szczeblach ludzkiego rozwoju nabrało specjalnego posmaku. chciało by się rzec — politycznej aktualności. Nie tylko czytelnikowi przerzucającemu karty wspaniałego dzieła Ludwika Krzywickiego [1]) narzuca się pokrewieństwo między „ideologią" społeczną Austalijczyków czy Buszmenów a wygłaszanymi i szerzonymi współcześnie hasłami. Asocjacjom tym nie mógł oprzeć się i autor, jak tego dowodzą jego własne słowa. (Por. Wiadomości Literackie Nr. 19 rb.).

Uznawanie tylko siebie za ludzi, swego plemienia za lud przedni, wybrany — wszystkich zaś innych za wrogów, ludzi niżej stojących, godnych pogardy „wszarzy" — było powszechne wśród plemion pierwotnych. Przejawy mesjanizmu plemiennego i wyznaniowego występują tam już z całą ostrością, wiele plemion na najniższych stadiach wyobrażało sobie raj jako miejsce, do którego one jedne będą miały dostęp. Już wówczas przestrzegano rasowej czystości (choć nie było to bynajmniej regułą) i w wielu plemionach mordowano podejrzane noworodki. Nie wspominają natomiast badacze o prześladowaniu dorosłych osobników, tak że wypadnie nam zaliczyć to do współczesnych udoskonaleń. Albo, czyż nie mogą wydać się aktualnym pamfletem politycznym te stronice, na których czytamy, że głównym społecznym zadaniem, „narodową" filozofią wielu plemion było zabijanie (najczęściej podstępne) bliźnich i plemion sąsiednich, „polowanie na głowy"?

W tej ostatniej dziedzinie, współczesne plemiona nazistyczne dokonały niewątpliwego postępu, a poszukując w przeszłości oparcia dla swej ideologii nie cofnęły się przed przypisywaniem własnych cech ludom pierwotnym. Wybitny socjolog i etnolog Bronisław Malinowski, w przemówieniu na jubileusz jednego z uniwersytetów amerykańskich [2]), dowodzi, że celowo wyolbrzymia się dziś wojowniczość człowieka pierwotnego, chcąc z niej uczynić wrodzoną, naturalną postawę człowieka wogóle. Apeluje Br. Malinowski do współczesnych Zulusów, aby w barbarzyństwie nie posuwali się dalej, niż ich przodkowie. Dowodzi na przykładach najwcześniejszych etapów rozwoju, że wojna nie jest żadną *biologiczną koniecznością*, że krew nie była nigdy motorem historii. Wojna, jako środek regulowania zatargów między plemionami czy narodami, jest wynalazkiem znacznie późniejszym, w zasadzie nieznanym człowiekowi pierwotnemu. Przykładami zbija Malinowski uporczywie powatrzane frazesy o dobroczynności wojny.

Słuchając tak częstych dziś inwokacyj do krwi — tej rzekomo wspaniałej drogi ludzkiego postępu, nie sposób nie przypomnieć artykułu L. Krzywickiego w „Studiach socjologicznych" o ludożerstwie — to już nie walka o byt, to zboczenie.

Ostatnia praca Ludwika Krzywickiego ma, dla badań nad społeczeństwem pierwotnym, znaczenie przełomowe. Wiadomości o ludach pierwotnych Ameryki, Australii i wysp Pacyfiku zawdzięczaliśmy głównie różnego rodzaju awanturnikom, którzy pozostawiali skąpe i często wątpliwej wartości notatki— oraz misjonarzom, którzy acz bardziej prawdomówni, równie jak pierwsi nieprzygotowani byli do systematyczniejszych badań. Ci ostatni, ze względu na miażące na nich zadanie „nawracania", szczególnie byli oporni na zrozumienie moralnych więzi społeczeństw pierwotnych (klasyczny przykład tego stosunku przytacza Krzywicki na str. 124).

W ciągu wieków nazbierała się tego materiału wielka ilość, wartość jego jednak była problematyczna. Obserwacje powierzchowne, przytaczane cyfry często sprzeczne nie mogły stanowić podstawy dla ogólniejszych wniosków. Rzadko i to przeważnie w ostatnich czasach mieliśmy do czynienia z obserwacjami badacza-fachowca.

Olbrzymi ten i chaotyczny materiał uporządkował wysiłkiem trzydziestoletniej pracy Ludwik Krzywicki, poddał go krytycznej ocenie, oraz, co jest najważniejszą nowością, zastosował metodę statystyczną dla wyciągnięcia ogólnych danych o ruchu ludnościowym w tej fazie (3 prawa przyrostu naturalnego, problem płodności, śmiertelności itd.). W dwu punktach tkwi ważność osiągnięcia Krzywickiego: rozważania n. t. rozmiarów społeczeństw pierwotnych wyprowadził z torów fragmentarycznych przyczynków na drogę ogólnych, krytycznych wniosków, oraz dokonał krytycznego podsumowania materiałów wcześniejszych, w zasadzie niesprawdzalnych, bo odnoszących się do okresów minionych — pierwszego zetknięcia człowieka pierwotnego z naszą cywilizacją. Dzięki tym osiągnięciom „Społeczeństwo pierwotne" winno otworzyć nowy etap w badaniach — etap ostatecznych wniosków i uogólnień.

Olbrzymim nakładem pracy dokonane obliczenia wykazują, że liczebność plemion na niższych stopniach dzikości (wg. terminologii L. H. Morgana) jest neznaczna. Większość plemion liczy poniżej 500 głów, rzadko zaś przekracza 1000. Nieznaczne te grupy oddzielone od siebie poważnymi różnicami językowymi prowadziły żywot odrebny, często zwyczajami różniły się zasadniczo od najbliższych sąsiadów. Nawet wewnątrz tak nielicznej całości, jaką było plemię, więź między poszczególnymi jego grupami była nikła, ograniczona do wspólnego udziału w wyjątkowych uroczystościach, niekiedy zaś zrywała się całkowicie. Dopiero w okresie t. zw. przez Morgana barbarzyństwa, kiedy człowiek, dzięki b. rozwiniętym narzędziom, dzięki hodowli i rolnictwu, uniezależnił się częściowo od kaprysów zaopatrującej go

[1]) Ludwik Krzywicki: Społeczeństwo pierwotne. Jego rozmiary i wzrost. W-wa 1937.

[2]) Br. Malinowski. Śmiertelny problemat. „Marchołt" nr. 4. Umieszczenie artykułu Malinowskiego obok redakcyjnych enuncjacyj w sprawie Hiszpanii, tchnących duchem „Małego Dziennika", dobrze świadczy o smaku i odwadze redakcji „Marchołta".

przyrody, wtedy dopiero zauważa się wzrost plemion do 2 i 5 tys., spotykamy się już tutaj z federacjami plemion liczącymi powyżej 10 tys. głów (np. wśród czerwonoskórych Ameryki).

Badania ruchu ludnościowego wskazują, że na każdym z tych etapów istnieje pewna nieprzekraczalna cyfra gęstości zaludnienia i liczebności plemion. Cyfry te zależą od naturalnych warunków. Po ich osiągnięciu następuje stan równowagi — społeczeństwo pierwotne samo i w pewnej mierze świadomie ogranicza dalszy przyrost. zarówno obyczajowymi hamulcami (wstrzemięźliwość małżonków w pewnych okresach), jak i poprzez przerywanie ciąży i mordowanie niemowląt. Przezwyciężenie tego statycznego punktu było możliwe dopiero wraz ze zmianą stosunku do przyrody t. zn. z przejściem na wyższy szczebel rozwoju. Tak np. hodowla zwierząt domowych dostarczyła mleka dla niemowląt i skróciła kobiecie okres karmienia, trwający przed tym 3 a nawet i 5 lat. Musiało się to przyczynić do podniesienia płodności kobiety.

Stwierdzenia te mają wielkie znaczenie dla prehistorii, wyjaśniają, czemu, mimo tylu wieków istnienia człowieka na ziemi. liczebność plemion w chwili ich wkraczania w cywilizację była tak nieznaczna.

Wszystkie dzielnice Polski liczyły w X — XI w. przypuszczalnie 600 — 800 tys. głów, a jeszcze za Kazimierza W. cała Polska miała tylu mieszkańców ilu ich ma dzisiaj Wielka Warszawa (ok. 1300 tys.).

Większość wniosków dzieła Krzywickiego stanowi w zasadzie potwierdzenie hipotez wysuniętych swego czasu przez Morgana z tą atoli różnicą, że co tam było słabo popartym przypuszczeniem, tutaj poparte zostało całym dostępnym materiałem budowczym.

Cechą każdego wybitnego dzieła jest, że nie tylko rozwiązuje ale i wysuwa zagadnienia. „Społeczeństwo pierwotne" Krzywickiego tym się właśnie odznacza, że oprócz ogromu spraw rozwiązanych, chciałoby się rzec — definitywnie. daje jeszcze wiele niedopowiedzianych lub wyłaniających się problemów. Na plan pierwszy wysuwają się zagadnienia metody . Owocna w rezultaty metoda statystyczna odbiła się na dziele Krzywickiego w ten sposób, że kwestie liczebności plemion zostały w pewnym sensie wyabstrahowane od naturalnego podłoża życiowego. Wielokrotnie podkreśla autor, że „czynnikami zasadniczymi, które rozstrzygają o kierunku przyrostu jest niewątpliwie sytuacja ekonomiczna i wogóle warunki bytu, w jakich żyją poszczególne odłamy tubylców". Te wypowiedzi pozostały jednak w dużej mierze uwagami na marginesie. Podkreślić również należy słabe uwidocznienie związków istniejących między strukturą rodziny a warunkami bytu z jednej i liczebnością, kierunkiem rozwoju plemienia. z drugiej strony. Ta sprawa. tak silnie wysunięta z drugiej strony. Ta sprawa tak silnie wysunięta przez Morgana, domagałaby się dzisiaj rewizji uwzględniającej całość dostępnych materiałów.

W przedmowie do swego dzieła zaznacza znakomity uczony, że nie wykończona jest jeszcze, również oddawna przygotowywana praca. traktująca o sprawach ustrojowych w społeczeństwach pierwotnych. Miejmy nadzieję, że to dzieło odpowie wyczerpująco na wszystkie wysuwające się tu problemy.

W. K. Bieńkowski.

„Przepraszam, że żyję..."*)

Mówić o tej książce, jak o jednym ze zjawisk literackich, badać ją i analizować, podnosić jej zalety, wyszukiwać błędy — to tak, jakby do żywego ludzkiego serca, wyrwanego z piersi człowieka chcieć podejść z miarą i wagą: serce ocieka krwią, pulsuje — więc, aby dobrze zbadać, trzeba liczyć: ile też razy uderzy w przeciągu minuty... i czy ruchy są równomierne, — trzeba zmierzyć: ile krwi ucieka i czy czysta, czy gorąca, czy objętość serca odpowiada miarze przepisowej, czy wszystkie jego przegrody i zastawki działają normalnie. Trzeba przy tym mieć oko suche, rękę pewną i w piersi po lewej stronie... coś z drzewa.

Odrzucamy miary i wagi. Książkę, która jest żywym tragicznym strzępkiem rzeczywistości, przede wszystkim się odczuwa. Po jej przeczytaniu można więc mówić jedynie o odczuciach, — o tem, co w naszych duszach poruszyła, jakie wrażenia wywołała. Owe odczucia i wrażenia cisną się bezładnie jedno przez drugie, jest ich tyle.

Zbrodnia?

A więc tragedia. W ilu aktach?

Nie ważne. Wiadomo, w pierwszym — nóż, albo nafta i zapałki, albo „nagan" co to się ma go „jeszcze po bolszewikach w 20-ym roku", albo zgoła zwyczajny „patyczek", którym jakoś niechcący...

Ostatni akt — wyrok.

Przedstawienie skończone. Po ostatnich oficjalnych słowach tragedii zapada szara kurtyna — więzienie.

Co potem dzieje się z tragedii tej bohaterem? — również nie ważne. Szara kurtyna zapadła. Spokojnie można wracać do domu.

Stamtąd, zza kurtyny, z pod sceny, skąd — ukryty — „przez szpary w deskach liczył łatki na zelówkach ubogich aktorów i statystów" przychodzi Wiskowski, by siedzącym na widowni „w wygodnych fotelach ukazać wewnętrzną maszynerię „teatralną", ten cały „młynek diabelski do mielenia grzeszników gdzieś w przepastnych czeluściach piekła", — przychodzi, by, jak mówi, dać nam „prawdę o więzieniu", — oprowadza nas po nim, niby Dante, zstępuje w coraz niższe, coraz przepastniejsze regiony upadku ludzkiej duszy.

— Patrzcie, — mówi do nas — patrzcie, oto wasi bracia, którzy zgrzeszyli.

Obok potwornych lombrozowskich typów, obok różnych Trofinników i Murków, — „strasznych kobiet", „ludzi przerażających" plączą się tu tragedie tych, których losy porwane zostały przez bezlitosne tryby maszyny życiowej: „Biedna Dunia", dla której macierzyństwo — radość i błogosławieństwo kobiety — stało się zgubą. „Maniuś", który nie chciał „zarabiać na zmianie przekonań... nawet życia", zabiedzone podlasiaki i poleszuki, co to nie kradli „tolki brali drowa do pieczki", albo krowy zabierać komornikowi nie dali, bo „jakże ditki bez mołoka".. Dużo ich — dużo tych historii strasznych, smutnych, pięknych — zagadek bolesnych — „oficjalnie rozstrzygniętych".

Dziwna książka. Mówi o zbrodniarzach, bandytach, o ludziach, stojących na, tak zwanym, ostatnim szczeblu, tak zwanej, drabiny społecznej, powinnaby więc nas, siedzących na niej (przynajmniej we własnym mniemaniu) dość wysoko, napełnić uczuciem dumy, że oto jesteśmy w porządku wobec prawa, że jesteśmy „moralnie czyści". Tymczasem takie jest

*) Książka Włodzimierza Wiskowskiego p. t. „Przepraszam, że żyję" ukaże się w tych dniach w drugim nakładzie po konfiskacie. (Wydawnictwo J. Przeworskiego).

niezwykłe działanie tej książki, że już od pierwszych jej kart zaczynamy się czuć na swoich społecznych wysokościach dosyć niewyraźnie. Ogarnia nas wrażenie, że to my właśnie stoimy przed sądem. Zbrodnia, którą popełnił któryś z tych, co siedzą tam — za kratą — zaczyna przygniatać nas swym nieznośnym ciężarem.

To prawda stanęła przed nami i spojrzała nam w twarz. Spuściliśmy oczy. Pali nas wstyd.

Wiemy, że w tej chwili — i w następnej — i jeszcze w następnej gdzieś w Polsce, w pewnym mieście, w jego więzieniu istnieją nadal ci ludzie i dzieją się nadal te wszystkie rzeczy, o których z taką przejmującą prostotą opowiedział nam autor.

Wiemy już również i to, że nie tylko „oni" — ci zza kraty — zawinili. Prawo wspólnoty jest twarde. Wina ciąży nad nimi i nad nami.

Ale tylko „oni" ponoszą odpowiedzialność i karę.

„Sprawiedliwość" w trosce o nasze dobro (a podobno o ich — również) zabrała im dar niebios najcenniejszy, — wolną wolę. Ubrała ich w kurty więzienne „przepojone fluidami unicestwienia człowieka", odebrała im godność ludzką, kazała być przedmiotem, numerem i... toleruje w nich jedno tylko ludzkie (czy zwierzęce) uczucie — strach. Musi się przecież na czym opierać porządek więzienny.

A my?

Co uczyniliśmy, żeby zapobiec zbrodni?

Wszystko, czym chcielibyśmy się wytłumaczyć jest niczym wobec faktu: więzienia są pełne.

A może uczyniliśmy coś dla tych, którzy przez nasze niedbalstwo, nasze lekceważenie obowiązków człowieka względem człowieka, stali się zbrodniarzami i zapełnili owe więzienia?

— Czasem, gdy wzrok nasz zabłądzi przypadkiem za kratę, skłonni jesteśmy odczuwać nawet litość.

Litość?

Mówi Wiskowski: „jedną z rzeczy najprzykrzejszych, jaką więzień znieść musi jest to, że najlepsze, najszlachetniejsze serce wolnego człowieka nic dla więźnia czuć nie może — prócz litości".

Litujemy się — nie umiemy współczuć. Litość, która z pompą i namaszczeniem wchodzi w bramy więzienne, która boleje nad dolą człowieka zamkniętego w więzieniu, a która pierzcha z chwilą wypuszczenia go na wolność, taka litość ma w sobie zawsze „domieszkę pogardy i obrzydzenia" i upokarza człowieka — nawet gdy ten jest w więziennej kurcie. —

Trzeba do głodnych, brudnych i ciemnych iść z chlebem, mydłem i szkołą... by Lisków w Polsce nie był wyjątkiem. trzeba we własnym sercu znaleść klucz do serc nieszczęśliwych i zgnębionych — zanieść im dwa proste słowa: — „bracie kochany", nauczyć się tych słów magii czarodziejskiej, magii przetwarzania dusz, „trzeba umieć podeiść do człowieka", aby tkwiącą w nim „cząstkę dobra obudzić, rozwinąć, może nawet uczynić dominującą w jego duszy" — ową cząsteczką dobra, ów klejnocik można, a więc i trzeba odnaleźć.

Te wszystkie „morały" znane są może i stare, ale książka Wiskowskiego podkreśliła całą ich palącą konieczność i niemal tragiczną niedorzeczność. Książka Wiskowskiego krzyczy o człowieka, o jego ratunek w imię dobra ludzkości. Nie wolno zaprzepaszczać, nie wolno marnować, „najszlachetniejszego kruszcu pierwotnych dusz", w których poczucie honoru i bezwzględnej sprawiedliwości" tkwią „w kryształowo czystej bezkompromisowej formie".

Póki więzienie jest smutną koniecznością społeczną, a konflikt z prawem wynikać może „ze splotu tych warunków naszego życia zbiorowego, które charakteryzują bezrobocie i analfabetyzm", nie wolno nam tylko litować się nad tymi, którzy i naszą cząstkę winy wzięli na siebie.

Nie litość, nie jałmużna, lecz racjonalna reforma więziennictwa należy się od nas ludziom, którym tak pochopnie nieraz odmawiamy cech człowieczeństwa.

Uczynić z przestępcy normalnego i pożytecznego członka społeczeństwa — to jest zadanie współczesnych metod penitencjarnych".

Nad poruszonymi w książce Wiskowskiego zagadnieniami nie można przejść do porządku dziennego.

O duszę żywego człowieka walczy swoją książką „podrzutek społeczeństwa", jak siebie samego nazwał dawny „więzień radosny" — Włodzimierz Wiskowski.

Może trzeba by teraz powiedzieć nie tylko o tym, czego „więzień radosny" pragnął, co go oburzało, do czego dążył, ale i o tym, czego dokonał swoją postawą radosną, ile serc rozgrzał i pocieszył, co sam przeżył i przecierpiał. Tu jednak staje człowiek onieśmielony... tytułem. Książka, opatrzona takim tytułem — to wyrzut dla społeczeństwa, tym boleśniejszy, że może być słuszny.

I dlatego wszelkie wzniosłe opisy tego, co przeżył autor, a szczególniej roztrząsanie tego, czego się obawiał, że spotka po wyjściu „stamtąd", wydawać się muszą czymś... niedelikatnym. Tych rzeczy nie wolno komentować, nie wolno ich poruszać i przekonywać autora, że się myli, że nie jest tak źle... i t. d.

Można mu tylko powiedzieć — serdecznie:

— „nie może nijakiej wagi mieć wyrok, gdzie sądzi, kto sam sądu godzien" —

i potem — jeżeli pozwoli — uścisnąć mu rękę.

S. STANISZEWSKA.

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

S t e f a n M a l i n o w s k i: Co każdy Polak o hitleryzmie wiedzieć powinien. Warszawa 1938. Księgarnia F. Hoesicka.

Autor wysuwa tezę, że bolszewizm jest tworem Niemców, dziś zaś hitlerowcy drogą usilnej i sugiestywnej propagandy wpoić usiłują przekonanie, że Żydzi są twórcami komunizmu.

Na podstawie przykładów i cytat z ważniejszych pism menerów nazistycznych, p. St. Malinowski, wierzący katolik, usiłuje dowieść, że prześladowania Żydów, to nieznaczy epizod w wielkich planach niemieckich, walka zaś hitlerowców z bolszewizmem to obłuda i dymna zasłona, choćby dlatego, że bolszewizm jest nieodrodnym tworem Niemców. Istotnym natomiast, choć ukrytym celem hitleryzmu, jest zdławienie kościoła katolickiego. „Reszta — powiada dalej p. Malinowski — to tylko tumanienie opinii dla zyskania sobie zwolenników wśród klas posiadających i antysemitów. To maska".

Gromiąc krótkowidztwo polskie, autor konkluduje: „nie wiem, czy trzeba się więcej dziwić naiwności Polaków katolików, sympatyków hitleryzmu czy występnej działalności tych, którzy za pieniądze niemieckie i na wzór hitlerowski organizują naszą młodzież katolicką".

Książeczka p. Malinowskiego napisana jest w szlachetnej intencji i z wielkim temperamentem, jednakże wadą jej zasadniczą jest brak głębszej analizy i pominięcie znaczenia procesów społeczno - gospodarczych, a także dowolne przypisywanie wielkich przemian ustrojowych magicznemu działaniu woli bądź tyranów, bądź menerów lub sprzedawczyków

Grey Owl — Szara Sowa: Pielgrzymi w puszczy. Przekład Aleksandra Dobrota. Słowo wstępne Arkadego Fiedlera. Warszawa 1937 Wydawnictwo J. Przeworskiego.

Jest to osobliwa i czarująca książka człowieka, który większą część swego życia spędził w puszczach kanadyjskich. Swoje umiłowanie lasu, jezior, strumieni przenosi na zwierzęta i stopniowo, z biegiem lat, przeistacza się z okrutnego trapera w wielbiciela i tkliwego opiekuna zwierząt. Staje się znawcą życia bobrów, ich duszy i obyczajów. Stwierdza, że współżycie ze zwierzętami działa uszlachetniająco na człowieka. Grey Owl, znany dziś i uwielbiany pisarz w całym świecie anglosaskim, swoje doświadczenia wieloletnie, poczynione w puszczy zamyka oświadczeniem, które brzmi jak głęboki wyrzut w stronę cywilizacji ludzkiej: „Ja zawdzięczam bliskim stosunkom ze zwierzętami wszystko, nawet to, że teraz piszę".

Aldous Huxley: „Nad zatoką meksykańską". Przekład (generałowej) Stanisławy Rayskiej-Kuszelewskiej. Wydawnictwo J. Przeworskiego. Str. 366.

Kapitalne, treściwe, pełne bogatych spostrzeżeń i oryginalnych myśli opisy podróży po krajach Ameryki środkowej. Rzecz cała jest pomyślana jako generalny atak na współczesny szał nacjonalizmu, odbierającego ludom chleb, aby za jego cenę fabrykować armaty i bomby. O śmiałości idej i wyrażeń autora świadczy takie zdanie: „Markiz de Sade skazany został na długie lata więzienia za to, że kilku prostytutkom w Marsylii rozdał cukierki afrodyzyjskie. Ale nacjonaliści, którzy stosują środki na wzbudzenie w milionach ludzi niegodnych pasyj nienawiści, zazdrości i pychy, uważani są za zbawców ojczyzny".

Jan Brzechwa: Tańcowała Igła z nitką. Wiersze dla dzieci z kolorowymi rysunkami Franciszki Themerson. Wydawnictwo J. Mortkowicza. Warszawa 1937.

Jest to barwna rozradowana i roztańczona książka gwiazdkowa. Tańczy Igła z nitką, podskakują selery, buraki i pomidory, a różne stworzenia, jak czaple i żórawie, żółwie i krokodyle, indyki i ludzie prowadzą ze sobą rymowane rozmowy. Z wierszykami rywalizują o lepsze trójbarwne rysunki. Książka jest dziełem kunsztu poetyckiego i artystycznego smaku.

Stefan Themerson: Przygód Marcelianka Majster - Klepki. Historyj 6. Wydawnictwo J. Mortkowicza. Warszawa 1938.

Jest to książka dla dzieci o znaczeniu i wartości pracy ludzkiej. Marcelianek wędruje po świecie z czarodziejskim węzełkiem, w którym mieszczą się wszystkie narzędzia i przybory, zaczynając od piły i siekiery, a kończąc na teleskopie. W pierwszej przygodzie natrafił na dom leniwych ludzi, którzy siedzieli bezczynnie, a tymczasem walił się dom, chwiał się płot a krzesła kulały. Gdy ludzie ci obudzili się z drzemki, nie poznali swego obejścia. Bo Marcelianek posiłkując się „czarodziejskim węzełkiem" wykonał wszystkie roboty po kolei. Treść, przystosowana do umysłu dziecka, oraz odpowiednie ilustracje stawiają książkę na wysokim poziomie.

Hugh Lofting: Cyrk Doktora Dolittle. Wydawnictwo J. Mortkowicza. Warszawa 1937. Jest to trzeci tom znanego cyklu książek o Doktorze Dolittle, które bawią i jednocześnie uczą rzeczy dobrych i szlachetnych, Mały, gruby jegomość w śmiesznie pogniecionym cylindrze rozmawia ze zwierzętami, ratuje z niewoli uwięzione foki, zwalcza epidemie wśród małp, zakłada schroniska dla steranych koni dorożkarskich. Nieprawdopodobne zabawne przygody połączone są wątkiem tkliwej miłości dla zwierząt.

Robert Grawes: „Klaudiusz". Przełożył Stefan Essmanowski. Str. 456. Wydawnictwo J. Przeworskiego.

Solidny tom wytrawnej prozy historycznej. Przepyszna lektura! Radzimy zacząć czytać. Kto zacznie, ten nie oderwie się od książki, nim nie dojdzie do jej ostatniej karty. A przeczytawszy całość, ze zdumieniem stwierdzi, w jak czarujący, w jak swobodny sposób, zdołał wchłonąć potężny obszar wiedzy o niesłychanie ważnej fazie historycznej w rozwoju naszej cywilizacji. Na tle czasów Augusta, Tyberiusza i Kaliguli czytelnik, umiejący z lektury swej własny czynić użytek, odtworzy sobie, dzięki książce angielskiego historyka, wszystkie elementy niezbędne do prześwietlenia mechaniki i kulis wszystkich rządów dyktatorskich.

Anonimowemu przeciwnikowi w odpowiedzi

Choć kto przywdzieje klasyczne stroje
Daremny zachód i praca,
Nic nie pomogą togi lub zbroje,
Znać przebranego pajaca.

A. Asnyk.

Wcale obszernym artykułem „zaszczycił" mnie „Orędownik Wielkopolski" (nr. z dn. 7.XI) w odpowiedzi na artykuł mój o ghetto ławkowym w „Epoce" (nr. 21). Pismo to zresztą dość często zajmuje się moją osobą. To też w mej książeczce p. t. „Z walk z kłamstwem" (1934) jest nawet osobny rozdział zatytułowany: „Odpowiedź Orędownikowi Wielkopolskiemu".

Anonimowy (oczywiście!) autor zarzuca mi, iż mieszam „przyczyny" ze „skutkami" i nie liczę się z wyrokami sądowymi, a więc z sądami. Rzecz się ma odwrotnie: właśnie dlatego pogromy potępiam, bo wysoko cenię instytucję sądów; gdybym był innego zdania musiałbym się godzić na pogromy, dziesiątkowania, samosądy i inne tego rodzaju zabiegi, charakteryzujące upadek kultury — zdziczenie...

O ustępie artykułu mego, stwierdzającego że wyraz pogrom zapożyczyliśmy z Rosji, że zatem własnego wyrazu nie mieliśmy na rzecz, której u nas właściwie nie było i która honoru nam przynosić by nie mogła, oraz stwierdzającego dalej, że dziś doczekaliśmy się własnych pogromów (Brześć, Częstochowa) — otóż o tym ustępie anonimowy (oczywiście!) autor pisze, że są to słowa ‚pełne nienawiści i jadu do własnego narodu..."

Z tego powodu pozwolę sobie zauważyć, że dla mnie Naród polski nie zaistniał dopiero wówczas, gdy zaistniała antysemicka endecja, a i dziś Naród polski dla mnie to nie antysemicka endecja. Ale i do niej, t.j. owej endecji, w artykule moim nie stosowałem żadnych słów „pełnych nienawiści i jadu"; artykuł dawał tylko wyraz boleści i żalowi, że się coś podobnego na ciele Rzeczypospolitej Polskiej usadowiło...

Nie jestem antysemitą. Sprzeciwia się to bowiem memu moralnemu poczuciu, zdobytemu przede wszystkim na dziełach najlepszych naszych synów ojczyzny — twórców naszej kultury. Dałem też tego dowód w moim artykule, cytując z Kraszewskiego, a co anonimowy (oczywiście!) autor skrzętnie pominął, kłóci się to bowiem z tendencją jego artykułu. Ale, nie będąc antysemitą, mam dla nich zrozumienie, jak i dla innych zbałamuconych i zdemagogizowanych ludzi. Wszakże trudno mi zrozumieć autysemityzm endecki, ten właśnie, którego ponad wyraz brutalne przejawy obserwujemy w Polsce od lat kilku. „Nigdy uczeń nad mistrza" — powiada przysłowie — to też antysemityzm hitlerowski stoi o niebo wyżej od antysemityzmu endeckiego. Antysemityzm hitlerowski jest przynajmniej... „praworządny"... no, i... szczery: nie powołuje się na chrześcijanizm; przeciwnie chrześcijanizm zwalcza; zwalsza moralność Chrystusową, moralność św.

Pawła — jako moralność właśnie wyszłą z łona żydowskiego — proroków Starotestamentowych...

Z powodu zaś tytułu mego artykułu: „Dokąd idziemy?" anonimowy autor tak pisze: „Nie ulega żadnej wątpliwości, iż kroczymy do takiej Polski, gdzie nie będą możliwe wystąpienia w rodzaju prof. Ułaszyna". Najzupełniej się godzę w tym punkcie z anonimowym (oczywiście!) autorem. Od paru lat żywię ten sam pogląd. Grillparcer już powiedział był: „Von Humanität, durch Nationalität, zur Bestialität...". Wkroczyliśmy już w ten ostatni okres. Zmiana kolejna pewnych okresów kulturalnych, epok upadku kulturalnego i moralnego oraz ich wznoszenia się — znane są historykom kultury.

Inter arma silent musae — milczą Muzy w czasię wojny. Ale dziś wojny u nas niema, a Muzy milczą... Z tego wniosek, że jeśli i czasu pokoju Muzy milczą — to pokój ten charakteryzuje upadek kulturalny i dewastacja moralna — cechy charakteryzujące epoki wojen. Mnie obchodzi tu przede wszystkim Muza moja: Klio — muza historii, nauki.

Fundusz Kultury i Nauki spadł od kilku lat z 5 milionów do niecałego jednego. Nakłady książek naukowych spadły do granic, o których lepiej nie mówić. „Slavia Occidentalis" bije się w 500 egzemplarzach i poza egzemplarzami gratisowymi (członkowskimi) oraz wymiennymi... leży przeważnie ‚na składzie" (sprzedaje się ok. 50 egzemplarzy rocznika). „Pism Ojców Kościoła" abonuje w Polsce, nielicząc duchowieństwa (to z urzędu!), dwadzieścia kilka osób, a w tej liczbie taki „bezbożnik" i „żydokomunista" jak ja... „Rocznik Slawistyczny" „Revue Slavistique") od roku 1908 do 1915 wychodził corocznie czyli w ciągu 7 lat wyszło 7 roczników, natomiast od roku ukończenia wojny 1918 do roku 1937 t. j. przez przeciąg 19 lat istnienia Odrodzonej Polski przy czterech państwowych Uniwersytetach — wyszło zaledwie 4 tomy, czyli jeden tom przypada na 5 lat!

Przed wojną w 8-ym dziesiątku lat ubiegłego wieku, kiedy właściwie kleroendecji jeszcze nie było, Słownik Geograficzny, wydawany przez F. Sulimierskiego i B. Chlebowskiego, miał 2.000 prenumeratorów — obecnie zaś wydawany pod redakcją prof. St. Arnolda Słownik Geograficzny, więc w wolnej Polsce, kiedy kleroendecja, składająca się przeważnie z t. zw. inteligencji (wzgl. półinteligencji), a przede wszystkim z ludzi materialnie zabezpieczonych — ma tylko... 300 prenumeratorów...

I kto wobec tych faktów zaprzeczy, że spadła dziś ilość odbiorców poważniejszych produktów wyższego życia kulturalnego? Kto dziś zaprzeczy, że „Orędowniki Wielkopolskie" „kroczą do takiej Polski, gdzie nie będą możliwe wystąpienia w rodzaju prof. Ułaszyna"?...

Tak — co do tego nie mam żadnej wątpliwości. Całe szczęście, że jeśli nie w Polsce, to gdzieindziej, przechowają się te szczytne ideały najlepszych synów ludzkości, które umożliwiały każdemu narodowi stwarzać chlubne karty swych dziejów. Zresztą, wierzę niezłomnie w przetrwanie tych ideałów i w naszej Polsce, bo wierzę w ich niezniszczalność, w ich niepożytą siłę twórczą i zapładniającą, mocą swych wewnętrznych walorów, a nie napędzaną przy pomocy kastetów, łomów i żyletowanych pałek...

HENRYK UŁASZYN.

Znajda

OPOWIEŚĆ Z DNA NIEDOLI CHŁOPSKIEJ.

Nastały chłodne, dżdżyste dni, ciągnące za sobą początki zimy.

Brudne chmury wlokły się ociężale po niebie, tarły podbrzuszem po ogołoconej ziemi, pełnej zgniłych ściernisk, ugorów świeżo zoranych, rozmokłych, grząskich, gdzie niegdzie najeżonych resztkami zgniłych badyli lub kępkami nagiej krzewiny. Ziemi pokratowanej spokojną farbą miedz, obszytych po bokach wijącymi się mętnymi zygzakami strumyków, wrzynających się wytrwale w gliniaste podłoże. Pędziły wartkie steczki z zawrotną szybkością, pluskały do wtóru ukośnym smugom deszczu, siekącym bezlitośnie w obumierającą, szarą szatę wycieńczonej gleby.

Niby to ranek, lecz tak podobny do zmroku w tej siępawicy, że poznać by można było porę dnia, chyba po kulawym Franku, okrytym workiem, który gnał dobytek na pastwisko. W taką ciaprawicę wypędzono Znajdę paść. Chciano widocznie zaoszczędzić paszy na zimę. Franek musiał sobie wysługiwać ciepły kąt na zimę w stajni i łyżkę ochłapów. Dobre i to.

Jeszcze połowy drogi nie uszedł, a już przemókł do nitki, ziąbł, aż nim trzęsło. Co chwilę potykał się na rozmokłej glinie, musiał więc dobrze uważać, aby nie upaść w kałużę. Szedł za krową, wolno i cicho jak zwykle, pokaszliwał sucho, przystawał chwilami, jakby nabierał oddechu.

Deszcz nie ustawał ani na chwilę. Znęcał się nad chłopcem niemiłosiernie. Franek wolałby napewno przytulić się do swego wyrka, czy też krzątać się po zagrodzie, ale cóż, służba, na zimę gotowi wypędzić, i idź tu gdzie w taki psi czas. Z biedą dowlókł się do pastwiska. Krowę puścił samopas, a sam usiadł na kikucie pod sosną, z worka robiąc nakrycie nad głową, co zresztą niewiele pomagało, bo wnet poczęło przez niego cieknąć jak przez sito. Skulił się, głowę wcisnął w ramiona, dłonie włożył do rękawów i tak siedział, otrząsając się z zimna i wody. Patrzał ku dolinie, na pędzące nad nią zwały chmur, które zdawały się odpoczywać na wierzchołkach świerków, lub chwilami, połykające w ołowianych gardzielach ciemne sylwety gór, aż po rzekę w dolinie topiły w sobie świat.

— Ci to leje... — dziwił się raz po raz, chociaż m uto dziewnym nie było. Ot tak, mówił do siebie, żeby mu się nie cniło. Krowa leniwie wybierała resztki traw, niechętnie, jakby przez wzgląd na pastucha. Spoglądało bydle na niego, na wieś, na deszcz. Franek pozieleniał, nawet mu się ruszać nie chciało, nie czuł już zimna, tak zdrętwiał.

Chłód chwytał coraz większy. Od Babiej zanosiło się na kurzawicę. Franek radby już wrócić, lecz nie mógł wcześniej tego uczynić, dopóki we wsi nie zobaczy dymów na kominach. Wpatrywał się w chmury. Niestety, nikt jeszcze nie palił.

— Trza jesce cekać! A tu kurzawica idzie... Bosuk przecie... a i Grzezula do cna zziymbła... kaby sie ji ta kciało zryć... — monologował zaciskając na sobie stary kabat z Oprzędka. Krowa zwiesiła łeb ku ziemi, stała nieruchomo, czekając cierpliwie.

— Cisiu, neee... — wyciągnął rękę ku krowie, ale ta ino ryknęła niezadowolona.

Zaczął padać śnieg. Mokry, rozlazły, pomieszany z deszczem. Zrobiła się istna chlapawica, nie do wytrzymania. Franek powstał, stanął pod workiem, patrzał ku wsi wytężonym wzrokiem, trząsł się jak w febrze. Brzezula porykiwała, bo jej też było zimno, zbliżyła się do Franka, poczęła go poszturchiwać rogiem, domagając się powrotu. Widząc, że chłopiec nie

ma zamiaru wracać, skierowała się w stronę wsi, nie bacząc na protesty chłopca. Wyłamała się spod jego władzy. Franek krzyczał, lecz bydlę zdawało się nie słyszeć. Gnało ku chatom, podniósłszy ogon do góry. Rad nie rad, jak mógł najszybciej, i o ile mu na to kalectwo pozwalało, pobiegł za krową.

Ledwo się przed chatą pokazał, przywitała go z progu Oprzędzina:

— Ty dziadu krotny! Je coz sie tak wlecez jak glista!? Zebyś juz roz skapoł niećpoku!!

Nie spodziewał się innego przywitania. Tak już zawsze było.

— Coz sie drzes weredo! nie widzis ze cały siwy!? — stanął w obronie Franka Oprzędek.

— Mos drugiego! Adukat!... Kiej ci byku nie dom zryć, to sie nie bedzies siepoł! — odgrażała Oprzędzina mężowi.

Franek poszedł do stajni. Tu było ciepło. Oj ciepło!

— Ze tyz ludziska ni majom za krzty litoście — rozmyślał. — Pewnie, cuby sie ta tropili mnom, kie majom telo lewentorza na łebie. Majom doś swoje bidy. Cu tam jo...

Chłód aż rzucał nim, dzwonił zębami, kaszlał, króciutko, chrapliwie, jakby mu się w płucach co rwało i darło we wnętrzu. Pragnął wypić coś ciepłego dla zagrzania. Kwaśnicy najchętniej. Takiej wrzącej, żeby aż po zębach parzyło.

Zdrowej nogi nie czuł wcale, tak zziębła. Kikut zawsze był jednako nieczuły. Może nawet lepiej, że przyroda tym ułomkiem go obdarzyła, o tyle mniej marzł. Usiadł na krowim żłobie, podsuwając zdrową stopę i łydkę pod pysk zwierzęciu. Rozumne bydle lizało zsiniały piszczel opięty w skórę. Po długiej chwili poczuł miłe ciepło posuwające się coraz wyżej. Oparł się wygodnie plecyma o jaśla i zamyślił się. Nie spostrzegł Oprzędziny, która weszła do stajni.

— Franek!... kaś jes gyngloku!? — krzyknęła ode drzwi. Zobaczyła go na żłobie. Aż nią rzuciło ze złości. Od rana chodziła zła jak giez, nie miała na kim żółci wylać. Teraz się jej nadarzyła okazja. — Ty bąku jedyn saframucki!! Jo cie bede sukała, a ty sie bedzies haw... Moze ci jesce zarcie przynieś... — obróciła się za siebie. Nie myśląc wiele, porwała z ziemi stołek do dojenia krów, i rzuciła nim wo Franka. — Neści niezguło!!

Chłopiec trafiony w głowę, zesunął się krowie pod nogi. Nawet nie krzyknął. Ściana.

— Rety... zabiłak go... — szepnęła przestraszona, chwytając się za głowę.

Gdy pierwszy strach minął, podbiegła do chłopca i kopnęła go. Widząc, że ani nie drgnął, chlusnęła na niego całą putnię wody. Franek drgnął, za chwilkę otworzył oczy.

— Twardy łeb mo ta kuśtyka zatracono... — pomyślała zadowolona. Zaczęła wrzeszczeć na niego: — Rus sie dziadu! Nie wydziwioj kumedyji, bo jak cie jesce roz ciepne, to naprowde zdechnies...

Dzięki twardym kościom Franka, nieraz ominęła ją przykrość. Teraz spojrzała na niego z pewnego rodzaju wdzięcznością, niecodziennym głosem odezwała się:

— Idź... mos przed chałpom zarcie...

Poszło za nią smutne, łzawe spojrzenie. Aż do izby poszło, do ciepłej miski.

Powstał trzymając się rękami żłoba. Pomacał się po głowie, w której szumiało niczym we młynie, a w uszach dzwoniło. Nie mógł należycie myśli pozbierać. Nie wiedział, za co tym stołkiem dostał. Bezwiednie wyszedł przed stajnię i skierował się ku chacie. Na progu czekała na niego miska żuru z ziemniakami. Trochę popróbował, po tym wyrzucił do ogródka. Nie smakowały mu te obślizgłe ziemniaki. Twarde, nakryte pozmarszczałym kożuchem kwaśnej papki.

— Niek kury zdziubio...

Napił się wody z konewki. Pił dużo, bo mimo chłodu pragnienie miał wielkie.

Całe popołudnie siedział na boisku. Obierał buraki z naci i gliny. Oczyszczone składał na kupy, a potem zanosił potrosze do piwnicy. Już mu i zimno nie było, bo go gorączka chwyciła. Zapijał ten gorąc wodą. Zmoknięte ubranie zaczęło parować, cuchnąć, ale Franek nie dbał o to, i nie czuł żadnych dolegliwości. Tylko jeszcze w głowie czasem huczało.

Na dworze wciąż chlapało, jakby się uwzięło na wieś. A i na to się kaleka nie skarżył, bo siedział w stodole. Inni może w taki czas po świecie wędrują. Gorzej mają od niego.

Wieczorem poczuł, że jest mu zimno, i gorąc bił na ciało. Poszedł do chaty.

Gospodarzów nie było, widocznie poszli do sąsiadów, jak zwykle wieczorem. Hanka siedziała na zydlu z kolanami pod brodą, ziewała, aż jej łzy z oczu ciekły.

— Łoskrob zimioki! — warknęła do niego, niczym pies.

Franek usiadł posłusznie na ławce pod drzwiami i skrobał ziemniaki. Ciepło poczęło go rozmarzać. Było mu miło. Poczuł się przez moment jak u ludzi. Oczy zachodziły powoli senną powłoką, powieki opadały, palce nie biegały tak szybko po ziemniaku, w końcu opuścił głowę na piersi. Zdrzemnął się. Może nawet śnił o czym...

— Franek!... tak to skrobies!!... — krzyknęła Hanka, otulając się grubą chustą, przebierając przy tym palcami w głowie.

Chłopca momentalnie sen odleciał. Ośmielił się zwrócić uwagę Hance:

— Mozeby doś było tyk zimioków...

— Skrob! cu cie łobchodzi! Za darmo bedzies zar?

Obracał więc dalej ziemniaki w palcach, zestrugiwał z nich cieniutką jak bibułkę skóreczkę, a ziemniaki pozbyte łupiny wrzucał do szaflika. Ciepło było w izbie. Pokaszliwał chwilami, co wielce gniewało Hankę.

— Cóż tak kaślcs zdechlaku jakisik; jo tego nie bede słuchać! — rzekła do niego przez zęby. Więc dusił w sobie kaszel, krzypał, ale nie mógł się opanować. Wyszedł przed chatę, usiadł na progu i kaszlał, aż sobie marynarkę popluł. W szczytach płuc poczuł kłucie. Nie dziwił się. To tylko czasem go tak kłuło, gdy zmarzł.

— Franek, podź haw!! — usłyszał z izby głos Hanki.

Wrócił. Otrząsał się raz po raz, jakby z jakiego ciężaru.

— Siedź w chałpie, jo zaroz przyde!

Poszła. Gdy kroki ucichły, zbliżył się do pieca. Dorzucił na ogień drewienko, obejrzał się czy kto nie widzi. Zgrabciałe dłonie rozcierał nad płomieniem. Poczuł ciepło aż w duszy, bo mu oczy pojaśniały weselem. Może to ciepło nigdy nie było takie dobre jak to dzisiejsze, kradzione... Zdjął kabat, aby koszulę wysuszyć. Usiadł na polanach, plecami do drzwiczek i grzał się. Dobrze mu było przy piecu. Nikt go nie odpędzał, płomienie łaskotały przyjemnie. Mógł nabrać ciepła na całą noc. Koszula zaczęła parować, co go nawet humornie usposobiło.

— Sie jucha kurzy śnie... ci zmocono była! — szepnął. — Kieby sie ino kapke cego ciepłego dali napić... He!... Kieby kwaśnica była...

W sieni posłyszał chrobotanie. Odskoczył od pieca na ławkę. Ledwo wziął za nóż i ziemniak, drzwi się otwarły i weszła Oprzędzina. Zamyślona była.

— Ka Hanka? — zapytała.

— Nie wiym... kasik posła...

— Nie wiym, nie wiym! Cu ty wiys? Śternoście roków ci idzie, a takiś niezguła. E, cu tu godać, kalika przecie — mówiła do siebie. W głosie, zwykle opryskliwym, wyczuł Franek odrobinę litości, co go wielce zdziwiło, aż śmielej na nią spojrzał.

— Niekby jesce roz prasła stołkiym bez łeb, kieby ino zawse tak godała — pomyślał z wdzięcznością.

Oprzędzina zaczęła się krzątać koło wieczerzy. Franek siedział cichutko, żeby go przypadkiem nie wypędziła na pole z jaką robotą. Odzież trochę obeschła, ale tylko z wierzchu. Koszula była jeszcze wilgotna pod pachami i w spodniach, które u dołu były całkiem mokre, przylepione do kolan i łydek.

Zapach klusek unosił się po izbie, skwarki skwierczały na miseczce, aż się Frankowi odbijać zaczęło ziemniakami z

obiadu, oczy żarzyły jak węgle na takie miłe dźwięki. Wnętrzności poczęły się prężyć, skręcać, jakby chciały wyrwać się na wolność. Ino pasa zacisnął na spodniach. Zdawało mu się, że jakieś zębska go ściskają. Radby na kiszkach porobić węzełki, ale cóż poradzi na głód.

— Kieby ino dali spróbować. — pomyślał, jak o czymś, co mogło istnieć tylko w zakresie jego marzeń.

Oprzędzina ocedziła kluski, polała tłuszczem, posypała po wierzchu skwarkami i odstawiła na stół, żeby cośkolwiek ostygły. Micha dymiła podniecająco, aż chłopak zawrotów głowy dostał. Kurczył się ino nieborak, a cichutko wzdychał.

Z powały kapały krople pary, jak groch, jak łzy....

Wrócił Oprzędek, potem przyszła Hanka. Zasiedli do stołu z łyżkami w rękach. Żadne słowa nie rzekło. Uwijali się, jedno rade by drugie prześcignąć, żeby ino jak najwięcej zjeść. Tak zawsze spożywali...

— Żeby choć tego nojjałowskiego łostawili, kieby ino ciepłego — wiercił świder po Frankowych kiszkach i mózgu zachęcającym mlaskaniem.

Zjedli. Nie zostawili nic. Ani krzty nie zostawili. Ani polizać miski...

Hanka zaczęła się przeciągać sennie, drapać, ziewać, dając do poznania, że rada by pójść spać.

— Idź Hanuś spać, Franek pomyje nocynie — rzekła do niej matka.

— Frankowi to nie dos jeś? — zapytał Oprzędek.

— Ło rety! dyć do cnak zabocyła. Je cóz mu teroz dom... cheba zimnioków łod łobiadu, ino troske zimne, a w piecu wygasło. E, zjys takie, przecie lo ciebie nie bede polić. Ne, i tageś nie zarobił dzisiok na jedzynie! — rzuciła mu na ławkę miskę z ziemniakami. — Pogniydź se! Wnetki to zarcie skuńcy sie...

Franek spojrzał na miskę. Powolutku zaczął jeść południejsze ziemniaki. Jadł tylko poto, aby uniknąć awantury. Poprostu wpychał w przełyk ziemniaki. Po tym zabrał się do mycia statków. Przełknął ślinę raz i drugi, a potem łzy połykał. Popijał jako polewkę do zjedzonych ziemniaków. Głodny był i chory. Nie śmiał się upomnieć o swoje. Już od dawna do tego przywykł. Przecież był kaleką, wysłużkiem...

— Trza mu było dać te zociyrki kapke... ino te cholery jak sie do nie wziyny, tok zobocyły... E! nie zdechnie do jutra! — rozmyślała Oprzędzina, potem machnęła ręką, jakby się chciała opędzić od gza lub muchy.

Franek pomywszy naczynia, poszedł spać. Po ciemku doszedł do wyrka, i we wszystkim położył się pod derkę. Nawet pacierza nie zmówił. Chłód od mokrych spodni począł go oziębiać, trząsł nim, jakby się co na niego uwzięło. Dreszcze niczym mrówki zziębniętymi nóżkami zaczęły się przechadzać od karku po pięty. W żaden sposób nie mógł zasnąć i rozgrzać się.

Wieś już spała na dobre. Nawet psy nie ujadały w taką pluchę, a wiatr gwizdał, pluł deszczem i śniegiem bez litości. Po stajni odprawiały szczury weseliska, aż się kury w kącie pobudziły, czasem i Brzezula ryknęła, bo musiały po niej spacerować. Już trzeci róg we wsi grzmiał, a kaleka jeszcze nie spał.

Długo się męczył, nim poczuł przypływ ciepła, i wielkie pragnienie. Język przysechł do podniebienia, taki ostry, niczym Brzezuli. W żołądku ściskało, drapało...

Wstał. Poomacku doszedł do kąta, gdzie stała putnia z wodą. Ukląknął, nachylił naczynie ku sobie i począł pić chciwie, jak w jaki upał. Żłopał wodę, jakby chciał zatopić pragnienie i głód. Poczuł miły chłód w kiszkach, ale głodny był dalej i dreszcze napadały, ino zębami dzwonił.

— Moze usne — szepnął i wrócił na łóżko. Zaczęły się powtórne męczarnie. Przewracanie po wyrku wśród dreszczy. Na dobitek pchły go obsiadły. Okropnie się męczył biedaczysko. Podniósł się na posłaniu, zlazł na klepisko i macając w koło siebie, doszedł do żerdzi, którą zagrodzona była krowa. Zbliżył się ku niej. Bydlę też nie spało, wybierało czystą słomę spod siebie i tarło w zębach.

— Brzezula dos mi mleka? — zapytał półgłosem. Ukląkł obok zwierzęcia, poszukał ręką wymienia, zgarnął z dojka gnój, położył się przy tylnych nogach krowy, przywarł spragnione, zimne usta do ciepłego worka, i ssał. Ssał, jak młode bydlątko, ciepłe mleko. Ssał szybko, łapczywie, w obawie, że za chwilę Oprzędzina odciągnie go od tego odżywczego napoju.

Brzezula nawet nogę do góry uniosła, aby mu wygodniej było. Krztusił się, ale ssał...

Gdy już miał dosyć, otarł rękawem wilgotne usta, i rzekł do krowy, klepiąc ją po brzuchu:

— Dobro Brzezula, dobro... tyś moze nie bydle...

Wrócił na łóżko syty, z ciepłem w sercu. To twarde wyrko, zrobiło się przytulne, miękkie, derka stała się puchową pierzyną, powietrze nie cuchnęło wyziewami i potem zwierzęcym. Zdawało mu się, że zasypia. Nie tak jak codzień i nie czuje się sam. Ma wrażenie, że ktoś jest w stajni i patrzy na niego.

W stajni pojaśniało. Tak, zrobiło się widno, jak nad ranem. — Moze juz dnieje — plącze się w myślach Frankowych. Nie! bo światło zalewa całą stajnię, a nie jak zwykle kładło się kratą na gnoju obok Brzezuli, i takie inne od tamtego. Takie światło widział w czasie nocnych ćwiczeń wojskowych we wsi, gdy rakiety wystrzelano, tylko że to nie razi i nie omata lękiem. Jest kojące i pełne ciepła. Patrzy na ścianę przy wyrku, a ta odsunęła się o parę metrów od niego. Doskonale pamięta, że przed chwilą była tuż. Maca ręką po ścianie i czuje twarde dyle, a widzi je w pewnej odległości od siebie. Nie umiał sobie tego wytłumaczyć.

— I je cóz to? — pyta sam siebie.

Ze ściany, jak z mgły wyłania się skulona postać w łachmanach i idzie ku niemu. Jakaś stara, pomarszczona żebraczka. Uśmiecha się do niego i patrzy serdecznymi oczyma. Kaprawe oczy to były, ale jakieś dziwnie dobre. Ten wzrok znany jest Frankowi. Chce sobie przypomnieć gdzie go spotkał, lecz nie może w żaden sposób odszukać go w myśli. Bardzo dawno to musiało być.

Żebraczka schyla się, wkłada rękę do worka, potem wyjmuje z niego kawałek bułki. Białej świątecznej bułki. Tak, bułty! Takiej samej, jak mu w lecie panienka od letników dała. Pewnie też taka smaczna. Przez parę dni ją kosztował. Jej smak miał dotąd w ustach.

Wyciąga rękę po nią, po tę wyżebraną gdzieś bułkę... Chwyta palcami, zaciska, zgniata, bierze szybko do ust, naciska łakomie zębami...

Nagle w stajni pociemniało. Franek aż syknął z bólu. Ugryzł się w palec...

Szarpnęło duszą chłopca. Serce przestało łomotać na moment... Głowa pociężała, poczęło w niej tańczyć, goreje, wpycha się do zagłówka. Pod derką robi się parno, duszno i lepko od potu. Kąpał się we własnym pocie...

Została ciemność, odór bydlęcy. Szloch wstrząsa chłopcem. Łzy płyną po licach, kapią na derkę...

— Mamo... kaź je? — pyta Franek tej ciszy. Lecz noc, nawet echem nie odezwała się. Zamarło pytanie, w derce zostało. Wtulał się w nią, w tę starą połataną przyjaciółkę, trzymającą się w całości chyba przez te łzy, sieroce... Znajdy....

MIECZYSŁAW MIREK

Wydarzenia i dokumenty

WILHELM TELL PRZECIW TOTALIZMOWI

W Szwajcarii odbył się niedawno plebiscyt nad zgłoszonym przez faszystów projektem rozwiązania lóż masońskich. Głosowanie ludowe przyniosło druzgocącą klęskę szwajcarskim hitlerowcom: 514.539 głosów padło przeciw totalistycznej propozycji — zaledwie 233.491 za. Z dwudziestu dwu kantonów, biorących udział w głosowaniu, jeden tylko (Fryburg) wypowiedział się za rozwiązaniem lóż. Rzecz znamienna, że najwięcej głosów skupiła demokracja w kantonach graniczących z hitlerowskimi Niemcami. Widocznie bliskie sąsiedztwo z faszystowskim rajem nie usposabia sympatycznie dla „narodowego" ustroju. A przecież ludność tych kantonów jest w stu procentach niemiecka. Mimo to nie tęskni do systemu, którym uszczęśliwiono naród niemiecki.

Plebiscyt był wielką bitwą między faszyzmem a demokracją. Tak postawiły sprawę obie strony. Totalizatorzy wystąpili z znanymi i z innych krajów argumentami o zakonspirowanych rządach masonerii, o Żydach, marksistach i t. d. Wzywali naród do zrzucenia żydowskiego jarzma międzynarodówek (t. zn. do poddania Szwajcarii międzynarodówce faszystowskiej). Rozwiązanie lóż masońskich miało być wstępem do „przełomu narodowego" — do włączenia Szwajcarii w blok państw totalnych. I właśnie takie postawienie sprawy dało zwycięstwo demokracji. Demokratyczny plakat agitacyjny przedstawiał faszystę, obalającego pomnik Wilhelma Tella, symbol wolności i niepodległości, drogi wszystkim, zwłaszcza zaś niemieckim Szwajcarom. I naród szwajcarski zrozumiał, że zwycięstwo faszystów zagraża niepodległości kraju. Wiedziano, że plebiscyt był organizowany i finansowany przez agentów hitlerowskich, że szwajcarska partia faszystowska, t. zw. Front Narodowy (!) jest ekspozyturą niemieckiego „Weltdienstu" mającego swą siedzibę w Trzeciej Rzeszy, podległego Ministerstwu Propagandy i dyrygowanego przez Gestapo. Nikt w Szwajcarii nie łudzi się też co do związków, jakie istnieją między działającą w kantonach francuskich grupą niejakiego Oltramara a faszystami francuskimi, których wypróbowany patriotyzm nie przeszkadza im w korzystaniu z pomocy hitlerowskiej.

Przeciw totalistom a w obronie wolności obywatelskiej wystąpił też zwarcie **obóz katolicki z episkopatem** na czele. Biskupi szwajcarscy publicznie przeciwstawili się faszystowskiemu projektowi — w imię nie tylko demokracji, ale i katolicyzmu. Niepodejrzana chyba o sympatie masońskie, katolicka „**Nowa Prawda**" donosi o tym stanowisku katolików szwajcarskich:

„Przyczynę głosowania tego wyjaśnia w katolickim „**Courrier de Genève**" radca federalny Etter, przewodniczący partii katolickiej w Genewie. Wszystkie argumenty, pisze on, którymi posługiwali się inicjatorzy plebiscytu, były te same, jakie używane są w Niemczech w walce z katolicyzmem. Ci sami ludzie, gdyby zwyciężyli w plebiscycie, gotowi byliby stanąć jutro na czele kampanii antykatolickiej".

To — do wiadomości naszym rodzimym, żerującym na katolicyźmie, totalizatorom wszystkich obrządków.

Episkopat szwajcarski zajął w stosunku do totalizmu stanowisko takie same, jak biskupi katoliccy w Niemczech, Francji i Belgii. A naród szwajcarski, gromiąc faszyzm, bronił nie tylko wolności obywatelskiej nielicznej przecież grupy inteligencji, należącej do lóż masońskich. Bronił swoich swobód demokratycznych, bronił niepodległości kraju. I dlatego Wilhelm Tell zwyciężył heroldów hitleryzmu.

NIEBYLEJACY OBROŃCY

Wódz „Białych Kapturów", gen. Duseigneur, przesłuchiwany przez sędziego śledczego, na pytanie, jakie były cele wykrytego spisku faszystowskiego, odpowiedział:

„Związek ma za zadanie obronę uprawnionych interesów demokracji francuskiej oraz praw i swobód, zagwarantowanych każdemu obywatelowi przez podstawowe zasady konstytucji republikańskiej"...

Dlatego widocznie faszyści francuscy przy pomocy swych hitlerowskich przyjaciół organizowali zbrojny zamach na rząd, wyłoniony przez konstytucyjny, w swobodnych, uczciwych i demokratycznych wyborach powołany parlament. Przed kim więc chcieli panowie Duseigneur, Pozzo di Borgo, Tardieu i S-ka bronić „interesów demokracji"? Przed kim chcieli bronić swobód obywatelskich i konstytucji republikańskiej?

Przecież nawet pismo tak niepodejrzane o sympatie dla francuskiego Frontu Ludowego, jak „Völkischer Beobachter", stwierdziło niedawno, że faszystowskie grupy we Francji nie mają żadnych wpływów w masach, a popularność ich w opinii publicznej równa się zeru, natomiast przygniatająca większość narodu stoi zwarcie pod sztandarami demokracji. Wydaje się więc, że wodzowie „Białych Kapturów" chcieli bronić demokracji przed demokratami, a republiki przed republikanami. Straciwszy nadzieję dojścia do władzy w drodze legalnej, konstytucyjnej, demokratycznej — postanowili zbrojnie targnąć się na instytucje demokratyczno-republikańskie, na drodze gwałtu pochwycić władzę, przy czym nie pogardzili pomocą z zagranicy.

I jeżeli teraz, po wykryciu spisku i kompromitacji faszystów w oczach narodu, jeden z nich zapewnia, że tylko z miłości do republiki i demokracji gromadził broń obcego pochodzenia dla zadania zdradzieckiego ciosu właśnie republice i demokracji — to świadczy to raz jeszcze o wierności narodu francuskiego dla ustroju demokratyczno-parlamentarnego i o jego przywiązaniu do republiki i wolności obywatelskiej. Bo dlatego pan generał musi zasłaniać się obroną demokracji i swobód republikańskich, dlatego musi zapewniać o swej niezłomnej wierności dla konstytucji Trzeciej Republiki, że otwarte przyznanie się do faszystowskich zamysłów, do dyktatorskich, autorytarnych i totalistycznych dążeń kompromituje we Francji każdego jako wroga wolności i narodu. Najmniej politykujący Francuz rozumie doskonale, że zdobycie władzy przez wrogów demokracji i parlamentaryzmu oznacza nieuchronne uzależnienie Francji od zaborczego bloku totalistycznych dyktatur, oznacza kres francuskiej wolności obywatelskiej i narodowej. Toteż gen. Duseigneur woli kłamać, niż przyznać się do rzeczywistych swych zamiarów. Bo tam, gdzie przywiązanie do wolności i prawa weszło w krew obywateli, naśladowcy Hitlera i Mussoliniego muszą ukrywać swe prawdziwe oblicze i konspirować nie tylko swą organizację, ale przede wszystkim swą **ideologię**. Muszą, chcąc nie chcąc, udawać zwolenników demokracji, bodaj... kierowanej.

JAK POD CARATEM

Ruch socjalistyczny w Austrii po pamiętnych dniach lutowych 1934 r. bynajmniej nie zamarł. Zeszedł tylko w podziemia, a formy tego ruchu przypominają do złudzenia dawniejsze spod caratu. Socjaliści austriaccy przejęli wszystkie metody walki z przemocą, jakie u nas stosowano wobec despotii moskiewskiej. Organizują się w podziemiach, wydają literaturę nielegalną, tworzą tajne związki zarówno polityczne do walki o wolność, jak i związki zawodowe do walki o poprawę bytu robotników i pracowników umysłowych, periodycznie zwołują tajne kongresy.

Pierwszy zjazd socjalistyczny odbył

się w Wiedniu jesienią 1934 r. Kongres ten ustalił sposoby działania w nowej rzeczywistości i uchwalił deklarację programową. Następny zjazd odbył się w styczniu 1935 r.

Trzeci zjazd, który odbył się przed kilku tygodniami, zajął się rozpatrzeniem sytuacji światowej i wydał odezwę do robotników Austrii, utrzymaną w duchu nieubłaganej walki z faszyzmem.

Wejście w podziemia ruchu socjalistycznego w Austrii w kilkadziesiąt lat po wprowadzeniu pierwszych socjalistów do dawnego parlamentu za czasów cesarstwa — stanowi miarę uwstecznienia tamtejszego życia. Jednocześnie daje wyobrażenie o rozmiarach upadku swobód obywatelskich i o stopniu nasilenia mroków faszystowskich nad modrym Dunajem.

NAUCZYCIELSTWO DEKLARUJE SWOJĄ PRACĘ

W gmachu Związku Nauczycielstwa Polskiego w Warszawie odbyło się dn. 8 grudnia VIII zgromadzenie okręgu warszawskiego przy udziale około 400 delegatów, nauczycieli związkowych. Obrady zjazdu, które toczyły się pod znakiem obecnej sytuacji Z. N. P., cechowała rzeczowość i powaga. Przyjęte w wyniku dyskusji rezolucje, z których najważniejsze przytaczamy poniżej, dają wyobrażenie o poziomie obrad, o wysokim stopniu samowiedzy oraz ideowości nauczycielstwa demokratycznego:

„I. Aby Szkoła mogła spełnić swoją misję wychowawczą, musi posiadać właściwe warunki pracy i cieszyć się zaufaniem rodziców oraz uznanym przez państwo autorytetem. Misji wychowawczej Szkoły przeciwstawiają się sfery reakcyjne, które w podniesieniu oświaty wśród szerokich mas chłopskich i robotniczych widzą rzekome zagrożenie swojego stanu posiadania. Grupy te wszelkimi drogami dążą stale do podkopania powagi i autorytetu Szkoły, by w ten sposób zniszczyć skuteczność jej oddziaływania wychowawczego na dziatwę i rodziców. Jeśli się zważy, że Szkoła wychowuje przede wszystkim w duchu społeczno - obywatelskim i odrabia wiekowe zaniedbania w dziedzinie wychowania narodowego i państwowego, to obniżanie jej powagi i wpływu przez ciągłe oczernianie nauczycielstwa jest działaniem na szkodę Państwa i Społeczeństwa.

II. W tych ciężkich czasach dla oświaty powszechnej i nauczycielstwa VIII Zjazd Okręgowy w Warszawie oświadcza, że nie ma takich sił i takich przeszkód, które by mogły nauczycielstwo polskie, zgrupowane w szeregach Z. N. P. zahamować w pracy dla dobra Rzeczypospolitej Polskiej. Wszelkie zarzuty, insynuujące nam, że działalność Z. N. P. w czasach ostatnich jest obojętna albo nawet szkodliwa dla Państwa traktujemy jako chęć powstrzymania nas w naszej wielkiej pracy społecznej i wykopania przepaści między szkołą i nauczycielem a społeczeństwem.

III. Nauczyciel polski z tytułu swojej pracy w najrozmaitszych środowiskach, zna tak dobrze rzeczywistość polską jak może nikt inny i wie, że potęga Rzeczypospolitej Polskiej wspierać się musi na oświeconych masach chłopskich i robotniczych złączonych w bratnim wysiłku ze światem pracowników umysłowych. Ponieważ żaden inny ustrój państwowy poza ustrojem demokratycznym nie jest w stanie i nie chce uczynić zadość powyższemu warunkowi, przeto nauczycielstwo zgrupowane w szeregach Z. N. P. stało, stoi i stać będzie na stanowisku, że ustrój wewnętrzny Polski winien być ustrojem szczerze demokratycznym, tylko bowiem przy takim ustroju można wcielić w życie zasady sprawiedliwości społecznej. Totalizm państwowy jako obcy psychice narodu polskiego uznajemy za szkodliwy dla Państwa i zabójczy dla życia społecznego.

IV. VIII Zjazd Okręgowy w Warszawie deklaruje swoją pracę na wszystkich odcinkach życia społecznego, które zmierzają do dźwigania Polski wzwyż i do wzmocnienia obronności granic, a w szczególności deklaruje swoją gotowość do pracy nad dokształcaniem młodzieży w wieku przedpoborowym".

KSIĄŻKI NADESŁANE

Leon Kruczkowski: Dlaczego jestem socjalistą? Warszawa 1938. Nakładem Zarządu Głównego T-wa Uniwersytetu Robotniczego, Czerwonego Krzyża 20.

Stefan Kaden: Samotne wiersze. Kraków 1937. Druk W. L. Anczyca i Spółki.

Jerzy Życki: Propaganda polityczna w Polsce w świetle postulatów chwili. Warszawa 1937. Biblioteka Polska — skład główny.

Janina Brzostowska: Kobieta zdobywa świat. Powieść. Warszawa 1938. Nakładem Księgarni F. Hoesicka.

Jan Karol Wende: Drogi Człowiecze. Powieść. Warszawa 1938. Nakładem Księgarni F. Hoesicka.

St. R. Dobrowolski: Janosik z Tarchowej. Poemat. Warszawa 1937. F. Hoesick.

Witold Mościejewicz: Średniowiecze miłości. Poezje. Warszawa 1938. — F. Hoesick.

Irena Słomińska: Chwile. Poezje. Warszawa 1938. — F. Hoesick.

Mieczysław Braun: Poezje Pracy. Warszawa 1938. — F. Hoesick.

Stanisław Czernik: Gorycz. Powieść. Warszawa 1938. — F. Hoesick.

Józef Piłsudski: Pisma Zbiorowe. Tom IX. Wydanie prac dotychczas drukiem ogłoszonych. Warszawa 1937. Instytut Józefa Piłsudskiego poświęcony badaniom najnowszej historii Polski.

Stefan Malinowski: Co każdy Polak o hitleryzmie wiedzieć powinien. Warszawa 1938. — F. Hoesick.

Hugh Lofting: Cyrk Doktora Dolittle. Z ilustracjami autora. Przekład *Janiny Mortkowiczowej.* Okładka *Teresy Roszkowskiej.* Warszawa 1937 — Kraków. Wydawnictwo J. Mortkowicza.

Stefan Themerson: Przygód Marcelianka Majster - Klepki historyj 6. Z czterobarwnymi linoleorytami Franciszki Themerson. Warszawa — 1938 — Kraków. Wydawnictwo J. Mortkowicza.

Antoni Gronowicz: Zbuntowaną pieśnią przez wieś. Poezje. Lwów 1938. Nakładem Księgarni Lwowskiej.

Sprawozdanie Wojewódzkiego Związku Międzykomunalnego Opieki Społecznej w Krakowie z działalności za rok 1936/37.

Robert Groves: Klaudiusz. Przekład Stefana Essmanowskiego. Wydawnictwo J. Przeworskiego. Warszawa 1938.

Jeremi Wasiutyński: Kopernik. 126 ilustracji. Wydawnictwo J. Przeworskiego. Warszawa 1938.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA. WARSZAWA. UL. ORDYNACKA 5 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26.630.
REDAKTOR przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalnie — zł. 3.— Numer pojedyńczy 50 gr.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.
REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC 4433 — Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 3.